

# Styk

indeks 353108

nr 12 luty 1993 r.



3000 zł

## Kultura i nie tylko

Ostania wielka książka emigracji

Człowiek, który to wszystko zobaczył

Francuscy szpiedzy w Białymstoku

Czy jesteś dobrym kierowcą? (test)

Schamienie?

Lekki przepis na ciężki stres

Obrzezany dowcip

Romans w stylu Harlequina

Pechowy wieczór



# ŚMIERĆ OLIMPIJCZYKA

## I poleciałem po kobiecie

z Jackiem Grünem rozmawia Jan Szaciłło

Miałem zawsze za mało Ojca, był wiecznie zajęty...W dzieciństwie bardzo bałem się burzy i chowałem się wtedy w najciemniejszym kącie. Kiedy Ojciec to zauważył, wyszedł ze mną na ganek domu i zaczął opowiadać o swoich przeżyciach z wojny bolszewickiej. Tak mi się to spodobało, że w duchu modliłem się o częstsze burze. Pytam pana Wiktora, kiedy rodzina uzyskała pewność, że ich ojciec zginął.

czytaj str.17

- Jeżeli miałbyś możliwość wyboru, czy ponownie wybrałbyś zawód dziennikarza?
- Muszę dać dwie odpowiedzi: jedną prywatną, drugą zaś dla czytelników. Prywatna - to nie wybrałbym. W dzisiejszych czasach wybiera się raczej zawody, które dają kasę. Dziennikarstwo u nas niestety nie przynosi pieniędzy. A teraz dla czytelników: dziennikarstwa nie można się nauczyć, dziennikarzem człowiek już się rodzi, rodzi się z odpowiednim charakterem i iskrą bożą. Ponownie więc wybrałbym niewdzięczną pracę dziennikarza, bo mam już taki podły chara-

W  
z  
i  
m  
o  
w  
y  
m  
  
n  
a  
s  
t  
r  
o  
j  
u  
  
f  
o  
t.  
P  
E  
T  
E  
f  
o  
t  
o





fol. PETE-foto

## Z Jackiem Grünem rozmawia Jan Szaciłło c.d.

- Czy jesteś obiektywny i bezkompromisowy w swoich publikacjach prasowych?

- Obiektywizm może być w artykule, a kompromisowość czy bezkompromisowość w człowieku. Swego charakteru tu nie będę określać, chcę też powiedzieć, że obiektywizm zależy od wnikliwości spojrzenia na problem i odpowiedniego naświetlenia. Ale prawda nie jest zawsze czarna ani też biała, jest czasami facyta. I to czy jestem obiektywny i bezkompromisowy pozostawiam czytelnikom.

Wracając do obiektywizmu to uważam, że dziennikarstwo na świecie powinno być obiektywne, tak jak mówi się, że prasa powinna być wolna. Jak mitem jest mówienie o obiektywności dziennikarza, a tym samym o obiektywności jego artykułów. Na całym świecie prasa związana jest z różnymi problemami: politycznymi, ekonomicznymi, gospodarczymi, finansowymi. Każdy artykuł, nawet informacja o pogodzie, może być przedmiotem takiej czy innej manipulacji. Później już sądy mogą orzekać czy ta manipulacja miała na względzie interes społeczny, czy też rozgrywki prywatne.

- Czy odpowiada ci aktualny status dziennikarza?

- I tak i nie. Jeżeli idzie o status prawny to mam na myśli prawo prasowe, a z drugiej strony kodeks karny.

Nasze prawo prasowe jest na miarę PRL-u. To znaczy ono w zasadzie nie nakłada specjalnego obowiązku na dziennikarza, poza enigmatycznym określeniem o staranności przy zbieraniu materiałów prasowych. To jednak nie wystarcza na czasy gospodarki wolnorynkowej i systemu demokratycznego. Ja i moi koledzy chcielibyśmy, żeby to prawo było bardziej nowoczesne, bardziej przystosowane do współczesnych zjawisk. Natomiast, mówię to w swoim imieniu, z przerażeniem

patrzę na zamiary naszych prawodawców odnośnie nowego prawa prasowego. Te obawy potwierdza ustawa o radiofonii i telewizji, uwypuklająca wartości chrześcijańskie. Ale jest coś, co jeszcze bardziej niepokoi, a mianowicie ustawodawcy zamierzają tę część, nazwijmy ją karną, oprzeć na ustawodawstwie amerykańskim, które jest bardzo drastyczne. Oznacza to w praktyce, że jednym procesem sądowym o zniesławienie można puścić z torbami każdą gazetę. Ja się z tym zgadzam, bo ta odpowiedzialność za słowo, które może zabić, zniweczyć każdą działalność, musi być wszędzie przestrzegana. Przeniesienia tego amerykańskiego prawa w nasz obecny stan życia politycznego może doprowadzić i prawdopodobnie doprowadzi do nadużywania go w celu likwidowania konkurencji politycznej, czyli pozbywania się niewygodnych gazet i usuwania konkurencji ekonomicznej drogą przejmowania przez różne siły gazet wysokodochodowych.

- Gdyby zadano Ci pytanie - kto Ty jesteś? Czy uważałbyś je za niestosowne?

- Nie umiem odpowiedzieć, bo naprawdę nie wiem o co tu chodzi.

- Czasami słyszy się, że Ty jesteś Żydem.

- Ach! Chodzi ci o moje pochodzenie? To nie tak. Po pierwsze, jak przyjechałem do Białegostoku to wielu mówiło, że moje nazwisko jest pseudonimem, bo cóż to jest za "y" z dwoma kreskami. Potem kiedy napisałem słynny tekst o bezdomnych włóczących się psach dostawałem listy, w których autorzy nie mieli żadnych wątpliwości co do mego niemieckiego pochodzenia, łącznie z hitlerowskim. Natomiast w momencie kiedy przed trzema laty zaczęły się te różne chryste antysemitki, otrzymałem w listach takie pouczenia i pogroźki, że dosyć już żydowstwa w Polsce. Ja jeszcze nie byłem posądzony tylko o pochodzenie i konesje rosyjskie. W rzeczywistości rodzina moja wywodzi się z Austrii, z Wiednia i stąd jest to moje nazwisko. Natomiast jeżeli chodzi o przynależność religijną, to jestem ochrzczonym katolikiem. Zrobiono to oczywiście bez mojej wiedzy.

- Każdy człowiek może się przecież mylić, czy Tobie, jako dziennikarzowi coś takiego się przytrafia?

- Tak! Właśnie nieszczęśliwie zaczął się dla mnie rok 1993. Teraz wierzę w prawo serii i w różne takie zjawiska nadnaturalne. W nowy rok wkroczyłem dramatycznie - po prostu ośmieszyłem się. Pisząc tekst o budżecie miasta Białegostoku określiłem wysokość tego budżetu na 6 miliardów. Kiedy przeczytałem wydrukowaną treść osłupiałem. Coś jednak musi być w tych nadnaturalnych zjawiskach. Przecież ten tekst był czytany w redakcji i tych 6 nieszczęsnych miliardów przeleciało. Dzisiaj przecież 10 miliardów może mieć Bolek czy Lolek, a nasze miasto dysponuje budżetem rządu 300 miliardów. Mało tego, w tym samym numerze *Kuriera Podlaskiego*, ja tu mówię o prawach serii, napisałem felieton o pani senatorowej z Suwałk, a napisałem na podstawie mylnie odczytanej informacji prasowej. Polecałem sobie tym felietonowym stylem po Bogu ducha winnej kobiecie. Oka-

załem skruczę, wysłałem telegram, w gazecie ukazały się najserdeczniejsze przeprosiny. Nie wiem czy ta sprawa zakończy się procesem sądowym. Wina moja jest ewidentna. Oczywiście zdarzały mi się drobne potknięcia, które mogą występować w tym szalonym tempie tworzenia gazety codziennej.

- Podczas wieloletniej pracy dziennikarskiej spotkało Cię więcej satysfakcji i zadowolenia, czy też kłopotów i nieprzyjemności?

- Ja w zasadzie nie miałem kłopotów i przykrości. Mnie bardzo często znajomi pytają właśnie o te kłopoty i przykrości. Raz udzielił mi repetytory sekretarz KW PZPR, bo napisałem, że koncert był tak wspaniały, aż milicja musiała pilnować by nikt nie wychodził przed jego zakończeniem. Miałem również jeden proces - z babką klozetową, który wygrałem przy pierwszym podejściu. Listy i ankiety wykazują, że istnieje społeczna akceptacja moich prasowych publikacji. Nie mylić tylko tej akceptacji z urzędnikami.

- Czy możesz powiedzieć jakie są Twoje sympatie i antypatie polityczne?

- Brytyjski model prasy mówi o tym, że dziennikarz z chwilą wejścia do redakcji swoje przekonania polityczne zostawia za drzwiami. Kierując się tą właśnie etyką na te pytanie ci nie odpowiem. Powiem tylko to, że w każdego dziennikarza sympatie i antypatie polityczne gdzieś tam się na pewno uzewnętrzniają.

- W swoich felietonach zapowiadasz nadejście w Polsce raczej gorszych czasów - skąd ten pesymizm?

- To nie jest pesymizm, to tylko trzeźwe patrzenie na rozwój wydarzeń. Na pewno nie patrzę na to, co się wokół nas dzieje tak, jak widzą to ludzie, którzy posiadają władzę. W swoich tekstach pytam się: czy oni są zaślepieni, czy stracili poczucie rzeczywistości, czy swoją arogancją i przekonania czerpię z przekazów astralnych? To co oni robią jest obłędne. Nigdy w życiu nie pchałem się na żadne stanowiska. Będąc człowiekiem prywatnym mam ten dystans patrzenia na życie. Widząc co się dzieje na Wschodzie, a mając przekonanie, że my nie jesteśmy czymś lepszym niż nasi sąsiedzi, a może czasami gorszym, to nie widzę powodu dlaczego by pewne wydarzenia, które tam zaszły nie miały nastąpić i u nas. Takim sygnałem na razie jest Litwa i Rumunia.

- Kiedyś przejawiałeś zainteresowania muzyczne, dlaczego obecnie unikasz tego weselszego przecież tematu?

- O muzyce pisałem wtedy kiedy była cenzura i żaden z tekstów, które dzisiaj piszę nie mógłby się ukazać. Była więc to moja ucieczka w muzykę. Jak powiedziałem już wcześniej, urodziłem się po to, by wykonywać zawód dziennikarza, a nie biznesmana. Najważniejsze więc było przetrwanie. Nie spodziewałem się, że dożyję takich czasów. Muzyka w tej chwili pomaga mi na tyle, że improwizacja jazzowa bardzo mi przypomina polską improwizację polityczno-gospodarczą, z tą jednak różnicą, że mam o wiele większe mniemanie o jazzmenach niż o naszych politykach.

-*Publikacja Twojego życia - była już czy jeszcze będzie?*

- Za publikację życia każdego dziennikarza uważa się tekst, który przyniósł najbardziej zamierzony skutek. Całe dotychczasowe moje pisanie i innych dziennikarzy to wszystko psu na budę, nie odnosi żadnego rezultatu. Dam ostatni przykład kilku tekstów, które pisałem o pewnej instytucji, gdzie czarne na białym, bez żadnej wątpliwości, wykazałem istnienie albo korupcji urzędników, albo totalnej ich niekompetencji. Wydawało mi się, że nawet w tak rozwichrzonym kraju jak nasz jest to wystarczająca ilość dowodów by ukarać winnych. Tymczasem z jednostki nadrzędnej otrzymałem informację, że wszystko jest cacy! A więc publikacja mego życia będzie wtedy, kiedy nastąpi taka sytuacja, jak ostatnio w Niemczech. Ukazał się bowiem tam artykuł informujący, że jeden z ministrów pomógł kuzynowi zrobić jakiś niewielki interes. Zaczął się smród wokół sprawy i minister natychmiast podał się do dymisji. U nas nie było jeszcze takiego przypadku by publikacja prasowa spowodowała najmniejsze nawet ruchy kadrowe w administracji państwowej. Istnieją tylko przepychanki.

-*Jaki wpływ wywiera praca dziennikarska na Twoje życie prywatne?*

- Straszny. Najbardziej pozytywny wpływ moja praca dziennikarska miała wtedy, kiedy byłem 13 miesięcy bezrobotny. Przeczytałem wszystkie zaległe książki, zająłem się domem i dziećmi. Dziennikarstwo to niesamowita szarpanina. Są to godziny popołudniowe, wieczorne i nocne odebrane rodzinie, literaturze, muzyce. Bezustanne telefony; dom staje się centralą telefoniczną. Człowiek kładzie się spać i nie może zasnąć, myśląc jakie będą skutki tego mego pisania, co będzie dalej? Wszystkim ładnym dziewczętom nie odradzam zadawać się z dziennikarzami, ale też nie doradzam iść z nimi do ołtarza.

-*Dziennikarz powinien więc mieć końskie zdrowie i nadludzką odporność psychiczną?*

- Na pewno! Dzięki Bogu na zdrowie nie narzekam, a odporność psychiczną mam jeszcze lepszą niż zdrowie.

-*Jak wygląda Twoje życie kulturalne?*

- Sprawa kultury w życiu większości dziennikarzy związana jest z ich pracą zawodową. Te dywany, bankiety, konferencje, spotkania, koncerty, wernisaże - to całe bywanie jest konieczne, aby być na bieżąco i wiedzieć co w trawie piszczy. Nie należy to do przyjemności. Ja odczułem wielką ulgę kiedy przestałem być krytykiem muzycznym. Idę na koncert, który mnie interesuje. Mogę słuchać dla przyjemności, bez zastanowienia się, co ja mam o tym napisać. Zmieniając tematykę swoich artykułów odzyskałem możliwość cieszenia się muzyką.

-*Czy możesz słów kilka powiedzieć o swojej rodzinie?*

- Żona, jak przystało na męża dziennikarza, absolwentka filologii polskiej i szkoły muzycznej, ma zawód odpowiedni - jest inżynierem ogrodnikiem. Mamy dwoje dzieci: Dorotę (9 lat) i Stefana (13 lat).

Bardzo się cieszę, że dzieciaki wykazują absolutny brak zainteresowań muzyką. Nie będą musiały iść moją pełną wyrzeczeń, drogą.

-*Twoja największa dziennikarska przygoda?*

- Jeżeli chodzi o największą przygodę w tej tematyce, którą teraz się zajmuję, to jest ona jeszcze przede mną. Miałem jednak wielką przygodę jako krytyk muzyczny. Był to kilkumiesięczny pobyt w Nowym Jorku. Poznałem tam osobiście wiele światowych gwiazd jazzu, przeważnie murzynów, a znajomość języka angielskiego była mi w tym bardzo pomocna. Do nich, kiedy byli w Polsce, nie miałem żadnych szans się zbliżyć. Ci ludzie, z samego szczytu sławy, tam na miejscu zachowali się bardzo zwyczajnie, naturalnie i bezpośrednio. Zaprzyjaźniłem się z nimi, bywałem w klubach, byłem zapraszany do ich domów. Traktowano mnie jak kolegę o wspólnych zainteresowaniach. Z wielkim żalem przyjąłem teraz wiadomość o śmierci Dizzy Gillespiego, z którym często rozmawiałem o polityce. Bardzo interesował się Solidarnością, sytuacją w Polsce, przebiegiem procesu w sprawie morderstwa księdza Popiełuszki. Często mnie zaskakiwał znajomością naszych problemów. Dizzy Gillespie był żyjącą historią muzyki jazzowej w Ameryce i na świecie.

-*Co sądzisz o Białostockim Informatorze Kulturalnym "Styk"?*

- Myślałem na ten temat, ponieważ czytałem wasz Informator i znam jego każdy numer. Od kilkunastu lat na świecie jest tendencja ucieczki czytelników od pism wielkonakładowych. Amerykańskie i europejskie giganty prasowe zmniejszyły swoje nakłady kilkakrotnie na korzyść małych pisemek o charakterze regionalnym, dzielnicowym, hobbyistycznym. Oczywiście przyczyna tkwi w telewizji. Żadna gazeta nie nadąży z szybkością podawania informacji za telewizją i radiem. Kiedy człowiek jest bombardowany wiadomościami z całego świata, to w pewnym momencie pragnie otrzymać informacje ze swego najbliższego otoczenia. I te oczekiwania czytelników wasz Informator z pewnością może spełniać. Jest jednak podstawowy problem, którego nie przeskoczymy w ciągu najbliższych kilkunastu lat, a mianowicie: cena papieru i usług drukarskich na zachodzie jest śmiesznie niska. Tam kosztuje dziennikarz - ten co pisze. U nas jest wszystko postawione na głowie, jak w czwartym świecie - wszystkie pieniądze pochłaniają papier i druk, zaś dziennikarzem pozostają ochłapy. Jesteście być może w lepszej sytuacji. Wasze pismo jest oczywiście potrzebne, bo jest ono pismem informacyjno-krytycznym o charakterze regionalnym. Ale na miłość boską bądźcie bardziej drapieżni. Niech wasza krytyka nie będzie taka uczesana i wersalska. Ostra krytyka nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

Redakcji "Styku" życzę powodzenia, ciekawych publikacji i licznych czytelników.

-*Pozwól, że w imieniu Redakcji złożę Ci życzenia wszelkiej pomyślności, publikacji Twojego życia i wielkiej przygody dziennikarskiej. Dziękuję za rozmowę.*

"Człowiek, który to wszystko zobaczył..."

*Każdy poeta ma jakieś zadanie do spełnienia - pisała w swoim Notatniku Anna Kamieńska. Wówczas, gdy zacznie to czytać, gdy odnajdzie swoje zadanie - natychmiast jego poezja dynamizuje się i staje się autentyczna. Nie ma wówczas problemu z tzw. formą. Ona znajduje się sama. Pisać wiersze - to nie znaczy jeszcze być poetą. (...) Poeta po prostu musi czynić s w o j e. I właśnie kiedy to czyni, poezja jego rozwija się i dojrzeje, nie zastygła. Wiesław Kazanecki - jestem o tym przekonany - potrafił bezbłędnie rozpoznać swoje zadania, które otrzymał do spełnienia. Można tylko spierać się, kiedy to nastąpiło. Czy już w trakcie pisania poematu *Stwórca i kat*, w którym zamknął pewien krąg doświadczeń artystycznych, czy raczej w *Końcu epoki barbarzyńców*, rękodzielnej książce, stanowiącej wstrząsający zapis wielkiej przemiany jego poezji.*

Sądzę, że punktem zwrotnym w twórczości Wiesława Kazaneckiego były wiersze z pierwszego roku stanu wojennego, zamknięte przez autora w osobnym zbiorze. Dotykam w tym miejscu bodaj najmniej znanego fragmentu biografii twórczej naszego poety. Pod koniec 1982 roku, albo na początku 1983 otrzymałem od Wiesława niewielkiego formatu książeczkę, pozbawioną autora i tytułu. Poza tym (choćby był to maszynopis oprawiony w białą okładkę) miała wszystkie cechy normalnego zbioru wierszy. Otwierała ją osobna kartka z dedykacją: *Janowi Pawłowi II - Arce Ocalenia*, a całość była podzielona na trzy numerowane części. Przeczytaj - powiedział, są to wiersze, które musiałem napisać. Przeczytałem jednym tchem niemal sześćdziesięciostronicowy tomik i chociaż dzisiaj już nie w pełni potrafię odtworzyć tamtą aurę, to przecież kilka wierszy od razu zapadło mi w pamięci: *Boże Narodzenie 1981, Nie będziemy już więcej milczeli o miłości*, a przede wszystkim dwa prawie-poematy wypełniające w całości trzecią część: *Pożeracze wolności - tylko oni znają jej smak* i *A Bogiem swym i obrońcą uczynili strach*. Jakże elektryzowały wówczas te słowa czytane półgłosem:

*Z twarzy sędziów i twarzy sądzonych.  
Z opustoszałych wieczorem miast.  
Z posterunków na drogach.  
Z szeptów donosicieli.  
Z szybkostrzelnych kłamstw.  
Ze świec płonących w oknach  
(...)  
Ziemio tych którzy się boją.  
Ziemio tych którzy się boją więc milczą.*

Ziemio tych którzy się boją więc recytują słowa z kartek dostarczonych im przez strażników.

Ziemio tych którzy się boją więc umyją ręce.

Ziemio tych którzy się boją więc po trzykroć wypierają się własnych twarzy.

(...)

Poezja Kazaneckiego zawsze była niesłychanie wyczułona na własny czas, a potem mógłby powtórzyć za bliskim sobie Czechowiczem: *jestem anteną drgającą tego świata*. Można więc powiedzieć, że przyjęcie wyzwania tamtych trudnych zdarzeń było po prostu konsekwencją raz obranej drogi. Anonimowy tomik stanu wojennego w całej rozciągłości wydawał się to potwierdzać. A jednak już wkrótce te proste rozstrzygnięcia przestały pocieć wystarczać. W przygotowanym w kilka lat później legendarnym już tomie *Koniec epoki barbarzyńców*, wyraźnie nawiązującym do zbioru z 1982 roku, powtórzył autor tylko dwa utwory: *Pożeracze wolności... i A Bogiem swym i obrońcą uczynił strach*. Co się stało - może zapytać - dlaczego autor zrezygnował niemal w całości z wierszy, które były wyrazem tak głębokich emocji, świadectwem najgłębszego sprzeciwu wobec tych, którzy znieważyli *najpiękniejsze słowo świata - wolność*.

To trudne pytanie, pozwólmy więc najpierw przemówić słowom najprawdziwszym, poezji. W jednym z wierszy powstałych w latach osiemdziesiątych pisał Kazanek:

Wybacz, życie, że patrzę na ciebie przez szybę  
i drzę z lęku, że może ktoś rzucić kamieniem,  
i roztrząsać na zawsze  
tę kruchą przegrodę,  
dzięki której jesteśmy -  
ty sobie  
i ja sobie.

Pocieć przestała wystarczać sytuacja obserwatora czy nawet świadka. Już przed laty wyrażał za Pascalem wolę pójścia wskroś ludzi, by *nie opuścić ich w owym szaleństwie*. Teraz uznał, że nadszedł moment, aby osobiście świadczyć o najważniejszych prawdach, zgodnie z ewangelicznym przesłaniem: niech mowa wasza będzie tak lub nie. *Nie chciałbym kłamać kiedy mówię: Kocham* - czytamy w wierszu otwierającym *Koniec epoki barbarzyńców*. Przekonanie, iż *Po stokroć są rozstajne II drogi którymi idzie prawda i miłość i człowiek nie tylko nie pozwolił dłużej milczeć, ale zmusił poetę do poszukiwania nowych sposobów wypowiedzi*.

Druga część *Końca epoki barbarzyńców* nosi tajemniczy tytuł *Li*. Sięgnijmy więc po tytułowy wiersz cyklu:

Ponad liryką jest jeszcze wysokie Li.  
Napisane na

kartce, wyprzedza ją, jak przewodnik karawanę. Ale

w przestrzeni góruje nad słowami jak płomień w  
lichtarzu nad otwartą księgą...

Tą najważniejszą mową jest więc liryka. Nie agresywny ton poezji *świadectwa i oporu*, nie wykrzykniki czy grube czcionki gazet, ale stonowane słowa wypowiedziane raczej półgłosem, za to zawsze poświadczające osobistym przeżyciem. W tej perspektywie pierwszym wierszem wyraziłbym z tego nowego widzenia roli poezji jest *Krajobraz w zasięgu okna* ze zbioru *Koniec epoki barbarzyńców*:

Moja przyjaciółka czereśnia już porzuciła kwiaty dla owoców.

Dwa maleńkie pisklęta wypadły z gniazda na cement.

Nie uchronił ich dach mego domu.

Zapamiętałem je przezroczyste mgłą śmierci opierzone,  
ptasie niemowlęta.

I pomyślałem że człowiek który to wszystko zobaczył,  
powinien coś powiedzieć do Boga,  
może do gwiazd.

Wszystko w tym wierszu jest nowe: nowa czułość, w której poeta widział ocalenie, wyrażająca się zarówno w nazywaniu po imieniu serdecznej przyjaciółki, czereśni, jak i wrażliwość na niepojętą tajemnicę śmierci ptasich niemowląt, głęboka refleksja o ograniczonych możliwościach człowieka (*nie uchronił ich dach mego domu*) i wreszcie odnalezienie wielkiego adresata człowieczych doświadczeń - Boga. I właśnie w tym momencie - powtórzmy na koniec raz jeszcze za Anną Kamieńską - poeta zaczął spełniać swoje zadania. Stąd bezbłędnie już potrafił odnaleźć jedyny ton dla nowych wierszy, które na pewno pozostaną w naszej literaturze.

\* \* \*

Od ubiegłego roku w rocznicę śmierci Wiesława Kazaneckiego przyznawana jest Nagroda Literacka Prezydenta m. Białegostoku Jego imienia. W tym roku otrzymała ją Anna Markowa za tom *Coraz mniej*, zbiór znakomitych wierszy, które z pewnością byłyby bliskie Wieskowi.

Waldemar Smaszcz

Wielki konkurs STYKU

KUPON nr. 2

## Pechowy wieczór

Waldemar Z. przyjechał z Wasilkowa do Białegostoku w godzinach popołudniowych. Ponieważ było ciepło, zdjął skórzaną kurtkę, zapakował do reklamówki i poszedł na Rynek Kościuszki.

Na jednej z ławek w pobliżu ratusza siedziała rozprawiająca głośno grupa osób, spośród których był Kajtek i Siwa. Ten pierwszy widząc nieznanego, podszedł doń chcąc pożyczyć brakujące 2 tys. na kupno wina "własnej roboty" po 7,5 tys. zł za butelkę. Przy okazji zaciekawili się zawartością reklamówki, a uzyskawszy odpowiedź zaproponował opchnięcie kurtki. Jednakże Waldemar Z. odrzucił zarówno jedną, jak i drugą propozycję. Kajtek wrócił do swoich.

Waldemar Z. spotkał w jakiś czas potem znajomego, z którym trochę wypił. Apetyt w miarę upływu czasu rósł. Koło godz. 20 Waldek wysłał więc kolegę do Delikatesów przy Suraskiej po wino, a sam stał "pod filarami" z reklamówką w ręce. I tutaj po raz drugi los zetknął go z Kajtkiem, któremu towarzyszyła Siwa z ... dzieckiem w wózku. Oboje chcieli, aby postawił im coś do wychlania. Odparł, że czeka właśnie na znajomego, który jest w Delikatesach.

- To nie postawisz? - upewnił się Kajtek.

- Nie. - Ledwo to powiedział, kiedy pięść Kajtka trafiła go w twarz. Padł na jakiś stragan. Napastnik chwycił go obiema rękami za szyję i krzyknął do dziewczyny, żeby brała reklamówkę. Siwej udało się wyszarpnąć plastikową torbę ze skórzaną kurtką (poszkodowany wycenił ją na półtora miliona). Nikt akurat nie przechodził i nie przeszkodził w napadzie. Sprawcy zbiegli.

Napadnięty powiadomił z automatu I Komisarjat Policji. W pięć minut później radiowóz był na miejscu. Waldemar Z. wskazał kierunek, w którym zbiegli Kajtek i Siwa z dzieckiem w wózku. Na ulicy Białowny policjanci zatrzymali kobietę z wózkiem. Poszkodowany rozpoznał w niej współniczkę Kajtka.

Siwa przyznała się do popełnienia zarzucanego jej czynu. Potwierdziła również, że Kajtek dusił Waldemara Z., ale nie widziała, żeby uderzył pięścią. Wyjaśniła, iż Kajtek zabrał od niej kurtkę i nie wie, co się z nią i kurtką stało. Po złożeniu zeznań została zwolniona i opuściła komisariat. W kilka minut później z komisariatu wyszedł także pokrzywdzony.

Jednakże tego wieczora pech jeszcze go nie opuścił. W okolicach kina *Pokój* ponownie został napadnięty. Tym razem trzech niezidentyfikowanych chuliganów pobito go i skopało. W tle widoczna była dziewczyna z wózkiem.

Następnego dnia o godz. 10 Waldemar Z. miał się zgłosić w komisariacie. Przechodząc koło skwerku przy ratuszu zobaczył Kajtkę i powiadomił policję. Przeszł się do komisariatu.

Przesłuchany w charakterze podejrzanego Kajtek nie przyznał się. Zeznał, iż rzeczywiście spotkał wczoraj pokrzywdzonego, który zaproponował mu sprzedaż kurtki, gdyż chciał się napić, a nie miał pieniędzy. Załatwił więc sprawę, następnie rozstali się i tyle go widział, nie miał też styczności z Siwą. Jasne jest, iż te wyjaśnienia, jako sprzeczne z zeznaniami pokrzywdzonego i Siwej, nie zasługują na wiarygodność.

Kajtek dopuścił się czynu w warunkach powrotu do przestępstwa (recydywa); pięć miesięcy wcześniej wyszedł z więzienia po odsiedzeniu części wyroku. Ma 30 lat i dwoje dzieci, rozwiedziony, bez zawodu.

Siwa jest młodą wdową (22 lata), matką jednego dziecka i jak jej kompan - recydywistka.

Poszkodowany ukończy w tym roku pięćdziesiątkę.

A & W

Sasza Raadkivi! ... Ileż wspomnień łączy mnie z tym płowłosym synem Estonii, z tym chłopcem, którego machinacje aparatu berowskiego rzuciły, podobnie jak mnie, w ponure obszary tajg syberyjskich. Obaj byliśmy fanatykami sportu. Nawet w trudnych warunkach przynajmniej obozowej monotonii nie zapominaliśmy o sporcie, żyliśmy bogactwem wspomnień o tej przeschłachetnej dziedzinie życia ludzkiego. Sasza był estońskim olimpijczykiem, reprezentował barwy Estonii na berlińskiej olimpiadzie 1936 roku - nie pamiętam już w jakiej gałęzi sportu. Zresztą był wszechstronnym sportowcem - koszykówka, siatkówka, bieg i piłka nożna wchodziły w zakres jego uzdolnień.

\*

Pamiętam - odpilujemy przepisową, normę dziewięciu kubometrów drzewa, siadamy wokół ogniska w leśnej zoni pracy, szumią nad nami korony modrzewi północnych, a my gwarzymy, gwarzymy o sporcie.

Sasza miał ową specyficzną urodę skandynawską, urodę smukłych, dorodnych, jasnowłosych, długonogich młodzieńców. Mimo swoich trzydziestu paru lat wyglądał nadzwyczaj młodo, zapewne dzięki odpowiedniej konserwacji przez sportowy tryb życia. Jego pozornie grube, szorstkie, typowe dla języków ugrofińskich wymawianie wyrazów, pięknie i jakoś męsko kontrastowało z ujmującą sylwetką, ze szlachetną aparycją jego wiecznie uśmiechniętego lica.

Sasza, a właściwie Aleksander, Saszą bowiem z rosyjska go nazywaliśmy, lubił i szanował Polaków. Słowo Puola - Polska wymawiał zawsze z jakimś pietyzmem i szacunkiem. Opowiadał jak był w Polsce przed wojną na jednym z mińgów sportowych. Lubił wspominać o swoim pobycie w Polsce, podobnie jak wspominał, jak to kiedyś generał Laidoner był z wizytą u marszałka Rydza-Śmigłego. Chciał mi wyraźnie sprawić przyjemność swą wiedzą o zagadnieniach polskich tak, jak to zwykle ma miejsce w odniesieniu do przyjaciela, którego się kocha i szanuje. Sport i wspólna miłość, sympatia dla Polski, kraju będącego dla każdego uczciwego cudzoziemca symbolem wolnościowych idei, łączyły nas bardzo w trudnej syberyjskiej rzeczywistości.

Innym razem siedzimy na narach obozowych, Sasza żywo gestykuluje: *No, wasz Pisarski nigdy nie dawał sobie rady z Raadikiem*. Nie na próżno Raadik zrobił karierę w Ameryce jako estoński bokser - emigrant.

- *Przyznaj jednak Sasza, że cios, którym wasz ciężki Linnamaegi położył ongiś Pilata, był najzupełniej przypadkowy* - ciągnę dalej, nie dając za wygraną.

- *Ma się rozumieć* - odpowiada Sasza. I znowu zgoda w sportowej rywalizacji.

Pamiętam, Sasza prędko wyuczył się melodii *Jeszcze Polska nie zginęła* i przy każdym powrocie brygad leśnych do baraków, widząc mnie wchodzącego w drzwi, zziąjanego i zmęczonego po pracy (sam w danym dniu pozostawał w domu), witał mnie triumfalnie dźwiękami Mazurka Dąbrowskiego lub polonezem *Pożegnanie z ojczyzną* Ogińskiego. Sasza zajmował mnie opowiadaniem o swoich przeżyciach na

olimpiadzie berlińskiej lub pokazywał mi garść fotografii, których dziwnym trafem nie odebrano mu w czasie rewizji w obozie. Na jednej z nich był Sasza w korporanckim ubiorze studenta uniwersytetu dorpacckiego, na innej milutkim uśmiechem wdzięczyła się jego narzeczona Urva, przystojna estońska blondynka z nieco zadartym nośkiem.

Sasza snuł marzenia: *Powrócisz Zbigniewie do Polski, do Warszawy, ja powrócę do drogiego Eesti, do Tallina, zobaczysz, pójdziemy jeszcze na niejedne dobre zawody sportowe, zobaczmy niejedną dobrą mecz, doskonałych goalkeeperów, świetnych beków (stoperów). Nie możemy przepaść tu w tajgach syberyjskich. Jeszcze nie raz ręce nasze złożą się do okłasków, gdy będziemy bić brawo naszym, dobrze rozgrywającym zawody, rodakom. Prawda, Zbigniewie, że tak będzie? - a wzrok miał utkwiony gdzieś daleko, gdy mówił tak w transie, lub jakby widział swój stadion w ukochanym Eesti - ojczyźnie sławnych niegdyś rycerzy-zakonników, mających miecz w swym godle.*

- *Będzie* - odpowiadałem, patrząc w te oczy, wchlaniające pod półprzymknięte powieki obrazu o tysiące mil odległe od miejsca zsyłki.

## Śmierć olimpijczyka

W tym czasie wprowadzono innowację w brygadach leśnych - zastąpiono długą piłę, zwaną bajanem piłą elektryczną. Czy więźniowie chętnie chwycą za to nowe narzędzie pracy? Tak, zdrowy jak tur Sasza - na pewno. On nigdy nie oszczędzał się w pracy. Często patrzyłem na niego z wyrzutem: *i po co tak się wrać do pracy, po co tak harować, po co i dla kogo?* Zawsze chętnie wpisywał siebie w poczet rekordzistów, czy to na stadionie, czy też w pracy okrutnej i niewdzięcznej, bo katorżnej.

Nie każdy z nas kwapił się do wzięcia piły elektrycznej. Nielatwo było dźwigać w kopalni wolframu czy uranu trzydziestodwukilowy młotek pneumatyczny, nie łatwiej jest trzymać kilkanaście godzin "tylko" dwadzieścia kilogramów ważącą piłę elektryczną, znajdującą się w ciągłym ruchu i drzeniu, w śliskich, zlodowaciałych od śniegu rękawicach, gdy piłą zdaje się już, już zjeżdża z pożądanego kierunku w kierunku twojego ciała, grożąc w każdej chwili śmiercią lub kalectwem. Zaparcia i woli trzeba mieć do takiej piły. A Sasza je miał.

- *Sasza, nie bierz się za piłę elektryczną, oszczędzaj się* - mówiłem. - *Przybałyka niczego się nie boi* - odpowiadał z ugrofińską hardością i dumą. Jego siła zdawała się usprawiedliwiać jego hardość i pewność siebie.

Minuty, gdy po prędkim ogrzaniu rąk przy ognisku, odchodziliśmy do pracy, były zawsze minutami milczenia, minutami skupienia i powagi. Wiedzieliśmy, że można po pracy wrócić lub nie wrócić do wspólnego ogniska. Jak dotychczas - odchodziliśmy i zawsze wracaliśmy, zawsze spotykaliśmy się u źródła ciepła w tajdze po ciężkiej pracy. Drzewa padały wokół nas, krąg ochronny wynosił pięćdziesiąt metrów, w takiej odległości rozstawieni byli tracze. Korony drzew padając i roztrzaskując się w

locie, wzbijały całe fontanny białych iskier, aż ómiło się w oczach od tych wspaniałych upadków różnych gatunków drzewostanu syberyjskiego. Walila się cała feeria barw, tęcza, cała otoczka barw napowietrznych, ze smużących się w fioletowych odcieniach promieni słonecznych, z iskier śniegowych, z zielonego igliwia, zaćmiewająca na chwilę samo słońce. Słońce, przechodzące jak złocista kadzielnica po czarnej linii lasów, podpalane było tu i ówdzie u czarnego lasów wezglowia przez wonne dymy ognisk obozowych, pachnących palonymi orzechami cedrowymi, włożonymi przez braci obozową w popiół ognisk, tak jak w Polsce ziemniaki przez pastuszków w żar popieliska.

Tego dnia tracze byli rozstawieni jak zwykle. Sasza swoją elektryczną piłą piłował osinę - materiał przeznaczony na budowę tamy wodnej. W najwspanialsze pnie osiny pił wchodziła jak w gumę. Od czasu do czasu, gdy przystawaliśmy, by odpocząć przed kolejnym drzewem i omiataliśmy pień ze śniegu, nasłuchiwałem jak opodal pracowała monotonna piłą Saszy.

Pilnie zajęty swym odwiecznym, już niemal wrodzonym procesem wpijania się w zamrożony, bordowy rdzeń szklistej, żółtej miazgi suchego modrzewia, nie od razu dopuściłem do świadomości krzyk, który gdzieś około południa przeleciał jak eksplozja rozpaczy wzdłuż kolumny drzew w mrocznych niszach tajgi.

Spojrzałem w kierunku, gdzie pracował Sasza. Prześcigały się już tam we wzajemnym pościgu czarne sylwetki ludzi. To był krzyk Saszy. Czy piłą zjechała po zamrożonym drewnie, czy zawiodła zbytnia, nieroztropna zadufalność Saszy, dość, że w miejscu, gdzie były długie wysportowane nogi Saszy, majtały się gołonie na kawalkach skóry, modląc się amplitudą swych okrutnych drgań. Sasza był biały jak śnieg syberyjski, a zdziwienie jego, gdy napotkał moje oczy, było tak szczere i serdeczne jak dziecka, któremu coś niedobrego się przydarzyło, czego on dziecięcym rozumem pojąć i zrozumieć nie może. Patrzyłem jak urzeczony na nogi Saszy i mimo woli pomyślałem, że już nigdy nogi te nie będą forsować wysokich płotków i nigdy już nie zaimponują prawidłowym adresowaniem centry na murawie boiska.

Zdjąłem swą syberyjską czapkę uszanekę i w ten sposób salutowałem bohatera estońskiej ojczyzny, dobrego chłopca, olimpijczyka... Chłopcy zdjęli z siebie więzienną fufajki i przewinawszy je przez żerdzie sporządzili w ten sposób nosze, na które położyli Saszę i ponieśli go w stronę ogniska. Tam mu ciepłej będzie umierać - tam go trzeba położyć. W tej chwili nie wiemy jeszcze czy Sasza umrze na pewno, czy zostanie wiecznym kaleką. Podkładamy tylko więcej drzewa w ogień. Podsycony ogień buzuje, trzeszczy, a o kilka kroków dalej olimpijczyk dogorywa. Jak krwawy punkt w miejscu przecinania się linii trzech rzutów, którymi są nieme spojrzenia: ponure - ołowianego, zaśniewzonego nieba syberyjskiego, chłonne - chłonnej pościeli śniegów syberyjskich; tkliwe, pieszczołliwe, wierne - wiernych towarzyszy.

Zbigniew Waydyk



## Między Razowcem, Węgierką i Pro

Jurka Siecha znam już od dawna i nie tylko ja mogę się tym pochwalić. Przy każdym spotkaniu trochę gawędzimy. Ostatnio przypomnieliśmy sobie, że oto mija niebawem 25 lat naszej znajomości. Po raz pierwszy zobaczyłem Jurka na scenie białostockiego teatru w roku 1968, grającego główną rolę w sztuce B. Shawa *Żołnierz i bohater*. Partnerował mu wówczas doskonały aktor i przemily człowiek, Henryk Dłużyński.

Jurek Siech po ukończeniu PWST im. L. Solskiego w Krakowie w 1962 r. występował na deskach kilku profesjonalnych teatrów, przebywając kolejno w Gnieźnie, Wałbrzychu, Rzeszowie i Kaliszu. I na nasze szczęście tam się nie zadomowił. Do Białegostoku przybył więc młody człowiek już z pewnym doświadczeniem aktorskim, na zaproszenie ówczesnego dyrektora Teatru Dramatycznego im. Al. Węgierki, Bronisława Orlicza.

*Jechałem zwykłym pociągiem, który zatrzymywał się na każdej stacji. Za Malkinią nagle wydało mi się, że płynę do Białegostoku łodzią. Po obu stronach toru, jak okiem sięgnąć, rozciągało się wodne pustkowie. Myślałem, że jestem na Polesiu.*

W Białymstoku też zaskoczenie, ale mile: obejrzał sztukę Szekspira *Romeo i Julia*, której wykonanie podobało się mu, podpisał umowę o pracę i niebawem otrzymał mieszkanie, akurat na przyjazd żony z kilkumiesięczną córeczką Justyną.

I tak nadszedł pamiętny dzień 12 września 1968 r. Jurek Siech wystąpił pierwszy raz w naszym teatrze w roli bohatera. Od tej chwili dzielnie już sobie radził w wielu, wielu kreacjach aktorskich. Szczerze się przyznam, że najbardziej polubiłem go w roli niezapomniane-

go wojaka Szwejka. Swoją wspaniałą grą wzruszał i rozśmieszał, skłaniał do zadumy nad radościami i marnościami świata tego. Sądzę, że monodram ten dobrze utrwalił się w pamięci licznych miłośników teatru, bowiem Jurek we wcieleniu Szwejka odwiedził liczne placówki kultury i to nie tylko w województwie białostockim. Był wszędzie oczekiwany i serdecznie zapraszamy.

Trudno mi jest tu szerzej przedstawić dorobek twórczy Jurka Siecha. Pragnę jednak przypomnieć jego sympatykom chociaż niektóre z najważniejszych dokonań artystycznych aktora. A więc biliśmy mu gromkie brawa za rolę Czepca w *Weselu Wyspiańskiego*, Moczalkina w *Słoniu Kopkowa*, Pozza w *Czekając na Godota* Becketta, Edka w *Tangu* Mrożka, za czołowe role w *Chorym z urojenia* i *Grzegorz Dyndale* Moliere. Trzeba też wiedzieć, że sztuka *Damy i huzary* Fredry, w której to Jurek wcielił się doskonale w postać Majora, odniosła swego czasu wielki sukces w Jugosławii.

Nie można pominąć w artystycznym dorobku tego aktora faktu, że wykazuje on zacięcie reżyserskie. W jego to bowiem profesjonalnej reżyserii wystawiono z powodzeniem *Ararat* Swinarskiego, *Klonowych braci* Szwarca oraz widowisko wg Norwida *To taki świat*. Była to pierwsza realizacja Norwida w białostockim teatrze, emitowana również w telewizji. Oryginalną scenografię do tych sztuk wykonał wybitny scenograf, kolega Jurka i przyjaciel - Ryszard Kuzyszyn. Z uznaniem i wdzięcznością wspomina często Jurek ludzi teatru białostockiego, ludzi którzy kształtowali i doskonalili jego aktorski warsztat, służyli mu przyjacielską radą i pomocą. Mówi o Leonii Jabłonkównie, Zbigniewie Bessercie, Jerzym Zegalskim, Bronisławie Orliczu, o doskonałej znawczyni Fredry pani Stefanii Domańskiej, nie żyjącym już Mirosławie Wawrzyniaku czy też o dyrektorze Andrzeju Jakimcu, który swoją artystyczną karierę rozpoczął w wałbrzyskim amatorskim zespole teatralnym kierowanym nie przez kogo innego, tylko właśnie przez Jurka Siecha. Z amatorskim ruchem teatralnym związał się on jeszcze w czasach studenckich w zespole Politechniki Krakowskiej "Pif-Paf". I od 35 lat wiele swego czasu poświęcał temu ruchowi. W Białymstoku w latach 1968-1976 pod jego kierunkiem pracował znany zespół teatralny *Razowiec*. Od 1979 roku prowadzi Młodzieżowy Teatr *Pro*, zlokalizowany w Miejskim Domu Kultury. Ostatnio, dzięki przychylności dyrektora Kazimierza Derkowskiego, zespół ten pracuje pod patronatem Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury w Białymstoku. Jako ciekawostkę warto podać, że z zespołu *Pro* wywodzi się wykonawca głównej roli w filmie Wajdy *Kronika wypadków miłosnych* Piotr Wawrzyńczak. Aktualnie w wykonaniu *Pro* możemy obejrzeć interesujące widowisko *Szelmostwa lisa Witalisa* wg Brzechwy. Sztukę tę przetłumaczoną na język włoski zespół ma zamiar zaprezentować widzom na Sycylii.

*Trudno mi dziś powiedzieć, ile premier przygotowałem z zespołami amatorskimi, ilu młodych ludzi przewinęło się przez moje zespoły. Wiem jednak, że wielu z nich pozostaje w żywym kontakcie z kulturą. Niektórzy są studentami w szkołach teatralnych, niektórzy już aktorami, a jeszcze inni rozjechali się po kraju i pracują w różnych zawodach. Przyjaźniłem się z nimi. Jako przyjacielowi i koledze łatwiej mi było pomagać im w rozwiązywaniu różnych problemów osobistych, gdy rodzice i szkoła okazywali się czasami bezradni. Pokochałem region białostocki i tutejszych ludzi. Tutaj urodziła się moja druga córka Kasia i już w tym roku składa maturę. Tu też od 25 lat pracuje jako lekarz moja żona. Mogę z całą szczerością powiedzieć, że Białystok jest moim szczęśliwym miastem, którego nie zamienię na żadne inne.*

Naprawdę warto któregoś dnia wybrać się do naszego teatru, by zobaczyć Jurka Siecha w *Ślubach panięńskich* jak gra Radosta, albo też Zdzisława w *Ciotuni* Fredry i życzyć mu dalszych szczęśliwych 25 lat pracy aktorskiej na białostoczczyźnie.

Jan Szaciłło

### VI Konkurs Poetycki o Buławę Hetmańską

Związek Nauczycielstwa Polskiego Zarząd Główny w Warszawie i Zarząd Okręgu w Białymstoku oraz Nauczycielski Klub Literacki w Białymstoku ogłaszają VI Konkurs Poetycki o Buławę Hetmańską. Może w nim wziąć udział każdy twórca, który w terminie do 15 marca 1993 roku nadesłanie, na niżej podany adres, zestaw pięciu wierszy opatrzonych godłem, nie drukowanych, nie publikowanych w innej formie - w pięciu egzemplarzach maszynopisu. Do utworów należy dołączyć zaklejoną kopertę zawierającą rozwiązanie godła (powtórzenie godła, imię i nazwisko autora, dokładny adres, numer telefonu i zawód). Tematyka wierszy dowolna. Przyznane zostaną buławy hetmańskie: złota, srebrna i brązowa. Teksty nadsyłane na konkurs nie będą zwracane. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do ewentualnego druku zgłaszanych tekstów.

Do współorganizacji VI Konkursu Poetyckiego o Buławę Hetmańską zapraszamy wszystkich, którym nie jest obojętny stan kultury polskiej.

Wiersze na konkurs i wszelką korespondencję prosimy kierować pod adresem: Nauczycielski Klub Literacki przy Zarządzie Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 3, 15-959 Białystok, z dopiskiem na kopercie "konkurs".

## Astronom na scenie

- Nasze - powiedział ktoś, kto może z Brześcia pochodził, gdy umilkły słowa piosenki *Brześć, to miasto jest moje*.

**Maria Sulima**, autorka powyższych słów - poetka, uczy polskiego już cztery lata. Od tego czasu, gdy w odpowiedzi na pytanie: kto chciałby uczyć się polskiego w klasie uniósł się las rąk. Wcześniej uczyła tylko fizyki i astronomii.

W Brześciu w roku szkolnym 1992-1993 powstała polska klasa w szkole numer dziewięć, a w perspektywie powinna powstać odrębna polska szkoła. Ostatnią polską szkołę zamknięto w 1948 r. i **Regina Sokółowska**, kompozytorka muzyki do piosenki o Brześciu, zdążyła skończyć w niej siedem klas. Potem uczyła się w szkole rosyjskiej. Zdawała na studia na matematykę.

- *Napisała dobrze i nie powinna się przejmować, ale nie mogliśmy przyjąć córki wroga ludu na wyższą uczelnię* - przekazał sekretarz partii przez kogoś życzliwego. Ojciec siedział wtedy w więzieniu.

W szkole muzycznej dyrektorem był dobry człowiek i dzięki jego życzliwości Regina Sokółowska mogła ją skończyć i później dostać się do wyższej szkoły muzycznej w Moskwie na wokalistykę. Po studiach ten sam dyrektor przyjął ją do pracy. Do dziś, mimo utraty wzroku w 1972 r. pracuje w szkole, którą ukończyła. Jest laureatką kilku liczących się konkursów.

Z Marią Sulimą spotkały się na zebraniu Związku Polaków w Brześciu i natychmiast zrodziła się idea powstania zespołu *Gerbera*. Maria Sulima pisze teksty piosenek i w trakcie koncertów recytuje swoje wiersze, Regina Sokółowska śpiewa, natomiast **Ela Sajdanowa** akompaniuje na fortepianie.

Szesnastego stycznia wystąpiły w Muzeum Okręgowym w Białymstoku. W muzealnej sali koncertu słuchało ponad sześćdziesiąt osób, w większości z Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna. Oprócz poezji i piosenek Marii Sulimy aplauz publiczności wzbudziła przedwojenna piosenka *Polesia Czar*, którą Regina Sokółowska musiała kilka razy powtórzyć na bis. Polacy za wschodnią granicą, mający utrudniony dostęp do polskiej kultury, znacznie lepiej przechowali zapomniane już w Polsce utwory.

W trakcie koncertu zbierano na polską szkołę w Brześciu.

- *Z poprzedniego koncertu we wrześniu ubiegłego roku przekazaliśmy na ten cel dziesięć tysięcy rubli* - powiedziała Regina Sokółowska. - *Na początku roku szkolnego nie było zeszytów dla pierwszej klasy. Brakuje lektur i dobrze byłoby, aby dzieci pojechały do Ostrej Bramy.*

**Waldemar Fiedorowicz**

## Styki i przytyki

## Kołodnicy w Narwi...

Miejscowi mówią: w okresie *Świąt Bożego Narodzenia kołodników moc*. Podobno ponad 40 grup odwiedzało gospodarstwa z życzeniami. Wójt Jan Topolański potwierdza silną tradycję kołodowania w jego gminie. Nic dziwnego, że Narew wybraliśmy na miejsce **XIII Wojewódzkich Spotkań Kołodniczych**. Trzydzieści jeden grup obrzędowych kołodoowało po polsku, białorusku, ukraińsku, a nawet *sycylijsku*. W sumie ponad 300 wykonawców, z druzgocąca przewagą płci żeńskiej. Kołodników męskich naliczyłem 49, a dzieci i młodzieży - 65 osób.

Widownia bardzo sympatycznie przyjęła 20-osobową grupę dzieci ze wsi Sledziaków w gm. Drohiczyn. Barbara Jadcuk i Tadeusz Nyczyk stworzyli z dziećmi własne widowisko, które zdaniem fachowców nie mieściło się wprawdzie w formie obrzędowej, ale było za to spontaniczne.

*Święta, święta, idą kołodnicy wyciągając kietbasę z piwnicy*  
- nawoływali mali nadbużanie.

O przetrwanie tradycji dbają także w Długole, Rybołach, Mielniku, Rzepnikach, Rafałowie, Zabłudowie, Miłkowicach - Maćkach i Paszkach oraz Hajnówce.

Objawiły się z trzema królowami *Szajdzianki*, białoruska grupa z Makówki i dobry głosowo "jednorocznik" z Uhowa. Uznane w kręgach folklorystycznych *Łupinianki*, *Klepaczanki*, *Narwianki* z Kruszewa, *Kalina* z Dasz, *Długoleczanki*, *Nareślanki* z Piaszków, *Koplanianki* i *Orzeszki* reprezentowały grupy kołodnicze z gwiazdą, szopką i mieszane.

Zastanawiającą kołedę zaśpiewały *Hetmanki* z Tykocina. Źródłem zdziwienia muzyków były strofy śpiewane na melodię hymnu narodowego. Czyżby w Tykocinie trafiono na ślad kompozytora *Mazurka Dąbrowskiego*?

Natomiast *Borowianki*, też z tej samej gminy, zainteresowały słuchaczy kołedą życzeniową, o publicystycznej wymowie:

*Żebyście wszyscy pracowali*

*Na Jacka kuroniówkę nie czekali.*

Antonina Daciuk z gm. Drohiczyn i Aleksander Grygoruk z Trześcianki wystąpili solo, z tym że gwiazda tego drugiego zachwyciła etnografów.

Wójt gminy Narew przyznał swoją nagrodę *Czyżowianom*, a gospodyni imprezy, Irena Szastaj - dyrektorka Narewskiego Ośrodka Kultury - młodzieżowej grupie z Hajnówki.

Przez cały czas trwania Spotkań dochodził zza kulis apetyczny zapach sarniny, którą sponsor z koła łowieckiego zafundował organizatorom. Wtajemniczeni twierdzą, że chleb też był sponsorowany.

My przywieźliśmy strawę duchową, która do białości rozgrzała szczerze wypełnioną widownię. Obrzędowe grupy: *Dziwa* z Mińska, a szczególnie *La Vallata* z Sycylii, zdynamizowały białostockich kołodników do tego stopnia, że śpiewali i tańczyli na

siedząco. Co kraj to obyczaj. Szerzej o Sycylijczykach nieco dalej, a z Narwią pożegnaliśmy się tekstem kołedy śpiewanej przez *Klepaczanki*.

*Zostańcie się z Bogiem  
Już my za progiem.*

## ... i w Czarnej Białostockiej

W sobotę byliśmy w Narwi, a w niedzielę 17 stycznia br. przekroczyliśmy progi Domu Kultury w Czarnej Białostockiej. To tutaj zrodził się pomysł organizowania spotkań z kołedą współczesną i jasełkami.

W tegorocznej, trzeciej już edycji tej imprezy, padł rekord zainteresowania. Przez scenę przewinęło się 396 wykonawców, prezentując się w ośmiu kategoriach.

Z pięciu jasełek ława konsultantów pod przewodnictwem Jerzego Śródkowskiego za najbardziej wartościowe uznała jasełki grupy oazowej kościoła Św. Rodziny w Czarnej Białostockiej. Spośród 4 chórów wyróżniono Chór Kościoła Chrześcijan Babtystów z Narwi. W kategorii zespołów wokalnych palmę pierwszeństwa przyznało grupie *Emi* z Drohiczyzna, a w wokalnoinstrumentalnych zaimponowali dynamiką chłopcy z Michałowa z liderem Andrzejem Borowskim. Wśród instrumentalistów podobał się *Zespół gitar klasycznych* Młodzieżowego Domu Kultury w Białymstoku z pracowni Zdzisławy Paulińskiej.

Prawdziwy twórczy tygiel zgotował nam pomysłodawca imprezy, Stefan Czarnecki. W niesamowitym tempie, w dżungli kabli i instrumentów klawiszowych, poddał przesłuchaniu swoją ekipę w liczbie 70 adeptów muzyki elektronicznej. Człowiek - orkiestra podawał tonację, łączył kable, ustawiał poziomy na konsolce, sterował scenę, zapowiadał, grał i nadawał: *będziecie chwilowo robić za statywy; proszę państwa, proszę się nie denerwować, bo muszę tonę ludzi wrzucić na scenę; Sławek, weź ósemkę, podaj czwórkę itp.*

W prezentacji artystycznej dominowały pójplebki, a czasami nawet tylko plejbki. Młodzi wykonawcy wprowadzeni w szalony wir elektroniki zapominali o symbiozie powinności wokalnych z grającą *Yamahą* i wówczas adept kończył frazę, a instrument bezdusznie grał dalej.

Tym niemniej wyłoniliśmy najbardziej utalentowanych. Wśród solistów wokalnie wyróżniali się: Marcin Bieta i Agnieszka Czarnecka z Czarnej Białostockiej, a z instrumentalistów - Małgorzata Maj z Białegostoku.

Podziwiać należy i oddać pełny szacunek Stefanowi Czarneckiemu za wspaniałą cechę, jaką jest zjednywanie sobie dzieci i młodzieży do muzyki. W tym szaleństwie piękne jest to, że potrafi ono porwać, muzycznie zarazić, łamać schematy wyobraźni i ją rozbudzać.

W tegorocznym kołodowaniu najwięcej inicjatywy wykazała Urszula Tomasiak z Drohiczyzna, która zaprezentowała w sumie osiem form. Żywoćne były także Łapy, Zabłudów, Narew, Michałowa, Tykocin, Choroszcz, Juchnowiec i Czarna Białostocka.



Przyszłość zarówno tradycyjnej jak i współczesnej formy kolędy rysuje się optymistycznie, do tego stopnia, że należy zorganizować dodatkowe spotkania grup z jasełkami.

Zawołanie *Hej! Kolęda* - kolęda! donośnie zabrzmiało dzięki bezimiennym pasjonatom w Narwi i w Czarnej Białostockiej z Ireną Staniszczyk na czele.

Ludzie! Tak trzymać! Malkontentów i ponuraków wysłać do piekła, a pasjonatów animować na ziemi.

## La Vallata?

Agrigento na Sycylii dzieli od Białegostoku 3500 km. Nic to dla sześciu młodych Sycylijczyków, których łączy chęć ludowego muzykowania. Czterech studentów, niedoszły lekarz i handlowiec stworzyli grupę *La Vallata* i od roku 1980 wędrują po świecie, propagując niezwykle żywiołowy folklor sycylijski. Byli już w USA, Kanadzie, Brazylii, prawie w całej Europie Wschodniej, aż zawitali do Białegostoku. Sprowadziła ich możliwość poznania naszych tradycji w okresie Bożego Narodzenia. To, co potrafią wykrzesać z instrumentów i własnych strun głosowych porównać można do wulkanu. Lawa entuzjazmu towarzyszyła Sycylijczykom podczas koncertów w Narwi, w kościele w Juchnowcu, w Domu Spokojnej Starości w Czerewkach, Czarnej Białostockiej i na finał w Wojewódzkim Ośrodku Animacji Kultury.

Ich muzyka zachwyca, podnieca i zmusza do żywiołowej reakcji. Oryginalny instrument maranzano swoją wibracją dźwięków przenika do wnętrza i wciąga do wspólnego przeżywania sycylijskiej muzyki. Dario Danile, określający siebie biznesmenem, demokratycznie przewodzi grupie *La Vallata*, która w rzeczywistości podobno nazywa się inaczej, ale to nieważne.

Ważne, że Sycylijczycy podbili serca Białostoczan, a szczególnie młodzieżowego teatru *PRO*. Jerzy Siech specjalnie przygotował włosko-polską wersję *Szelmostw Lisa Witalisa*, która wzbudziła zrozumiałe zainteresowanie wśród naszych gości.

Czy *PRO* zawita w rewanżu w Agrigento - jest to pytanie, na które *La Vallata* odpo-

wie po powrocie na Sycylię!

*Capito?*

*No capito?*

## Przezywają nas ...

Zarządzeniem Nr 57/91 Wojewody Białostockiego z dnia 22 kwietnia 1991 r., zatwierdzony został statut i nazwa: Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury. Proponując Wojewodzie nową nazwę instytucji i zmienioną formułę działalności statutowej nie przewidziałem skutków interpretacji skrótu WOAK. W korespondencji zdarzają się różne odmiany tej nazwy. Udało mi się zidentyfikować następujące:

- Wojewódzki Ośrodek Administracji Kultury
- Wojewódzki Ośrodek Animacji Kulturalnej (bardzo często)
- Wojewódzki Ośrodek Adoracji Kultury
- Wojewódzki Ośrodek Adaptacji Kultury
- Wojewódzki Ośrodek Rewalidacji Kultury
- Wojewódzki Ośrodek Reanimacji Kultury
- Wojewódzki Ośrodek Rekreacji i Kultury

Sumując: "wojewódzki" się przyjął, "ośrodek" nie budzi wątpliwości, "kultura" tylko w jednym przypadku odmieniona w przymiotniku. Schody zaczynają się z pojęciem animacji i stąd też wynikają liczne zamienniki w postaci: administracji, adaptacji, adoracji, rewalidacji, rekreacji i reanimacji. Wszystkie one, w zasadzie, mieszczą się w szeroko pojętej formule naszej tożsamości, chociaż z reanimacją nie chciałbym mieć do czynienia.

Bardzo odpowiada mi natomiast angielska wersja wg której WORK znaczy tyle co PRACA.

Hej Ho! Hej Ho! Do pracy by się szło! (bis)

**Kazimierz Maksymilian Derkowski**

## Spotkanie z Włochami

fol. PETE-foto



## Jak cię widzą, tak cię piszą

Na spotkanie z przedstawicielami lokalnych środków masowego przekazu, które zorganizował WOAK w dn. 11 I 1993 r. przybyli przedstawiciele *Niwy*, *Gazety Współczesnej*, *Gazety Wyborczej* i *Kartek*. Celem spotkania było omówienie zasad współpracy WOAK-u z mass mediami zarówno w zakresie reklamowania imprez kulturalnych jak i wskazywania na obszary zagadnień z dziedziny kultury, ważnych dla poszczególnych środowisk. Dokonano także próby oceny tej współpracy za 1992 r.

W toku dyskusji stwierdzono, że audycja Białostockiej Rozgłośni PRiTV *Poranek u dziennikarzy* nadawana w niedzielę była dotychczas dla pracowników i działaczy kultury barometrem kondycji kultury białostockiej. Z czasem jednak, co stwierdzono nie bez żalu, zmieniła się w informator typowo miejski z pominięciem faktów i zjawisk zachodzących w kulturze gminnej.

Odnotowano także z satysfakcją przychylną Rozgłośni zmierzającej do realizacji inicjatywy WOAK w zakresie prezentacji folkloru Ziemi Białostockiej pod nazwą *Z malowanej skrzyni*. Nadawana ona będzie w każdą niedzielę o godz. 6.05.

Podkreślono potrzebę wejścia w szerszą informację do środowiska studentckiego za pośrednictwem Radia *Akademia* oraz do środowiska białoruskiego poprzez *Niwę*.

Generalnie podkreślono, że prasa białostocka zbyt mało miejsca poświęca problematyce kulturalnej, choćby w porównaniu ze sportem. Uczestniczący w spotkaniu przedstawiciele gazet zadeklarowali ścisłą współpracę z WOAK-iem zarówno w zakresie reklamy i recenzowania imprez, jak też pokazywania ciekawych ludzi poprzez pryzmat ich inicjatyw w środowisku. Czy cel spotkania został osiągnięty, pokaże czas. Szkoda tylko, że na spotkaniu zabrakło przedstawicieli pozostałych gazet wydawanych w regionie oraz Rozgłośni PRiTV w Białymstoku i Radia *Akademia*. Nie oznacza to chyba rezygnacji ze współpracy z WOAK-iem? Byłaby to niepowetowana strata.

**Barbara Pacholska**

## Śpiewałyśmy Papieżowi

Białostoczczyzna - region nad Bugiem i Narwią, oparty o ścianę wschodnią, bogaty w przyrodę, pełen kontrastów i ciekawych ludzi. Żyją tu zgodnie Polacy i Białorusini, Ukraińcy i Tatarzy. Choć nastąpiło na tych ziemiach wielkie przemieszanie kultur, to jednak każda z nacji stara się chronić swoje skarby - język, tradycje, zwyczaje i obyczaje. Najczęściej przejawia się to w ludowej pieśni, legendach i podaniach przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Możemy się o tym przekonać na trwających już ponad dwadzieścia lat białostockich przeglądach *W poszukiwaniu folkloru*. Chyba w żadnym polskim regionie nie spotkamy tyle zespołów ludowych, co w białostockim. Tworzą się z wewnętrznej potrzeby, z tradycji pieśni śpiewanej podczas pracy i świąt, wesela i smutku, narodzin i śmierci. Są najbardziej trwałym ogniwem kultywowania własnej kultury, ważnym czynnikiem integracyjnym, wizytówką i dumą wiejskich społeczności. W samej tylko gminie Łapy istnieją cztery takie zespoły: *Łupinianki*, *Płonkowlanki*, *Szałajdzianki* i *Kuleszanki*. Zawsze imiona swoje wywodzą od nazw rodzinnych wsi. Niegdyś szlachecka wieś Łupianka Stara leży w pobliżu Narwi i szosy prowadzącej z Białegostoku do Wysokiego Mazowieckiego. Właśnie tędy jedziemy na szczególną uroczystość - jubileusz 10-lecia zespołu śpiewaczego *Łupinianki*. Sala miejscowego ośrodka kultury pełna ludzi; zeszła się cała wieś, zamieszkała chyba przez samych Łupińskich, bo w czternastoosobowym zespole pod tym nazwiskiem występuje jedenaście pań. Przybył proboszcz miejscowej parafii ze swoim wikariuszem; ze swoją procesją dyrektor WOAK - Kazimierz Derkowski; burmistrz miasta i gminy Łapy Roman Czepe w towarzystwie miejscowego sołtysa. Nie zabrakło też prasy, radia i telewizji. Jubileuszowy koncert swego zespołu społeczność Łupianki nagrodziła gromkimi oklaskami. Rzęsiste oklaski otrzymały też, występujące gościnnie, *Płonkowlanki*, którym przygrywała własna kapela w składzie: Jan Płoński (harmonia pedałowia) i Czesław Perkowski (bębenek). Kilkakrotnie zdobyli oni czołowe nagrody na Ogólnopolskim Przeglądzie Kapel Ludowych w Kazimierzu Dolnym.

Powróćmy jednak do genezy zespołu *Łupianka*. Najlepiej powie o tym wierszyk pomieszczony w kronice:



*W 1982 roku pewnego wieczoru  
Przybiegły moje córeczki kochane  
Mówiąc, że pani Ołtarzewska  
Zaprasza do klubu ich mamę  
Zachodzę do klubu, patrzę -  
Siedzą same panie,  
Na ich twarzach radość, roześmianie  
Pani Ołtarzewska mi podziękowała  
Żem do zespołu należeć zechciała.  
Gdyśmy na pierwsze próby  
Chętnie się zbierały  
Inne sąsiadki z wioski  
Z nas się trochę naśmiewały  
Żeśmy na to nie zważyły  
Bośmy wiele chęci miały  
Pracowałyśmy tygodnie  
Wyśpiewując pieśni zgodnie  
Aż rozeszła się wieść o zespole  
Inne jeszcze panie znalazły się w kole  
Tak już dziesięć lat radośnie śpiewamy  
Podtrzymywać tradycje na uwadze mamy  
Oby zawsze ten zwyczaj panował  
I w naszych sercach miłość do ziemi  
ojczyznej zachował.*

A oto co powiedział na jubileuszowej uroczystości proboszcz miejscowej parafii ksiądz prałat Władysław Grodzki:

*Dobre imię naszej ziemi oraz ludowe  
zwyczaje od wielu już lat rozstawiają ze-  
społy z Łupianki i Płonki. Śpiewem swoim  
służą Bogu i ludowi polskiemu. Popieram  
tę sprawę całym swoim sercem. Cieszę się  
i jestem nawet dumny, że w naszej parafii  
ten ruch tak się pięknie rozwija.*

Nie są to tylko kurtuazyjne słowa. *Łupinianki* zasłużyły na nie za ochronę i popularyzację najcenniejszych tradycji autentycznego śpiewu ludowego.

Jakże tu się przypomina głęboka i znamienna wypowiedź Jana Pawła II: *Kultura polska jest dobrem, na którym opiera się życie duchowe Polaków. Ona wyodrębnia nas jako naród. Ona stanowi o nas przez cały ciąg dziejów. Stanowi bardziej niż siła materialna. Bardziej niż granice politycz-*

*“Łupianki” w oczekiwaniu na Papieża.*  
*ne. Wiadomo, że naród polski przeszedł przez ciężką próbę utraty niepodległości, która trwała z górą sto lat - a mimo to pośród tej próby pozostał sobą. Pozostał duchowo niepodległy, ponieważ miał swoją kulturę.*

Powiadają panie *Łupinianki*: *Śpiewałyśmy papieżowi w Białymstoku i Łomży i to jest dla nas największą radością i nagrodą.*

A trzeba przyznać śpiewają pięknie i od serca. Śpiewały i odnosiły sukcesy na licznych przeglądach, imprezach wojewódzkich i lokalnych. Oto tylko niektóre z nich: XXI Prezentacje Tradycyjnej i Współczesnej Twórczości Ludowej *W poszukiwaniu folkloru* w Mońkach, koncert galowy laureatów XXI Spotkania *W poszukiwaniu folkloru* w Siemiatyczach, prezentacje twórczości ludowej *Noc Świętojańska* w Wólce n. Bugiem, udział w łomżyńskich dożynkach, uczestniczenie w III Zabłudowskich Spotkaniach z Muzyką i Poezją Sakralną, przeglądy twórczości ludowej w Brańsku i Surazu, Noce Świętojańskie w Uhowie, adoracje ze śpiewem w kościele płonkowskim.

Od kilku lat rocznie w Łupiance gośczone są przez zespół kobiety z Białorusi. Ojciec jednej z nich poległ tu w 1944 roku. Dla wspomnień, przyjaźni ludzkiej i wspólnych pieśni narodowość i język nie stanowią w Łupiance Starej żadnej przeszkody. Zespół się rozwija, wzbogaca repertuar, nawiązuje przyjaźnie, dzieli się doświadczeniami i bardzo chętnie występuje. Po odejściu pani Ołtarzewskiej, od roku 1985 zespołem kieruje miejscowy nauczyciel Krzysztof Toczyński. Zamierza on utworzyć dziecięcy zespół śpiewaczy o charakterze folklorystycznym z myślą o przyszłości *Łupinianek*, bo przecież czas swoje robi.

Jan Szaciłło



## Co u mistrza na warsztacie

Jadwiga Szczykowska-Zalęska - artystka rzeźbiarka. Dyplom z wyróżnieniem w warszawskiej ASP w 1976 roku. Działalność twórcza obejmuje: medale, plakiety, małe formy rzeźbiarskie, płaskorzeźby, rzeźby plenerowe, kameralne; w drewnie, kamieniu, odlewy w betonie, metalu; tkanina; rysunek; pastele. Wystawy, m.in. w 1977 r: udział w wystawie ogólnopolskiej - *Kobieta w Rzeźbie, II i IV Biennale Małych Form w Poznaniu* - z wystawami w Poznaniu, Łodzi, Wrocławiu, Berlinie, Lipsku, Paryżu. Twórczyni pomnika ks. Jerzego Popiełuszki w Białymstoku. Mieszka i tworzy w Supraślu, ul. Cegielniana 32.

- Ostatnio pracuję nad drobnymi rzeczami (plakiety) i maluję pastelami - dla odprężenia. To się tak mówi "drobne rzeczy", ale czasami nad plakietą pracuje się tyle czasu, co i nad dużą rzeźbą. Nieraz ta praca trwa bardzo długo, zdarza się, że odkładam ją i powracam po długich przerwach.

Projekt medalu do mennicy wiąże się z trudną technicznie pracą. Trzeba wielokrotnie odlewać w gipsie, pracując raz w negatywie, raz w pozytywie, opracowując formę i powierzchnię.

Natomiast wszystkie plakiety i medale, które opracowuję do techniki lanej, powstają szybciej. Można tu sobie pozwolić na różnego rodzaju impresje, na surowe potraktowanie formy i powierzchni.

- Jak wygląda dzień pracy rzeźbiarki?

- Zależy nad czym się pracuje. Są okresy, że człowiek wyłącza się zupełnie. A są i

takie, że jest się nastawionym wyłącznie na pracę. Jest to twórczość, a nie wypiek bułek. Wiele zależy od konstrukcji psychicznej. Niektórzy, bez względu na nastroje, codziennie coś robią. To jest chyba dobre. Poza tym codziennie coś się kłębi, dojrzewa, precyzuje. Coś dzieje się w wyobraźni. Jednakże w moim przypadku nie jest to równa, systematyczna praca.

- Proszę powiedzieć coś więcej o pomniku ks. Popiełuszki. Teraz zapewne większość kojarzy Panią z tym dziełem.

- Pomnik mógłby może być bardziej wojowniczy w formie, krzyczący. Długo chodziłam z tym problemem. Nie myślałam konkretnie o kształcie. Z tej całej wojowniczej atmosfery zrezygnowałam; doszłam do wniosku, że ma to być spokój i pokora. Ksiądz Jerzy często powtarzał: "Zło dobrem zwyciężaj". I na te nasze czasy trzeba jakiegoś uspokojenia, ukojenia, balsamu... Nawet gdyby otaczało nas morze zła, ktoś

musi przypomnieć o tym, że istnieje także dobro. Dlatego właśnie ten pomnik nie może być jakąś spekulacją w sensie formalnych rozgrywek artystycznych. Chodzi o to, ażeby poprzez formalne potraktowanie nie zatracić tego głównego sensu i przestać dla ludzi.

- Jak długo trwały prace nad pomnikiem?

- Z projektem około półtora roku.

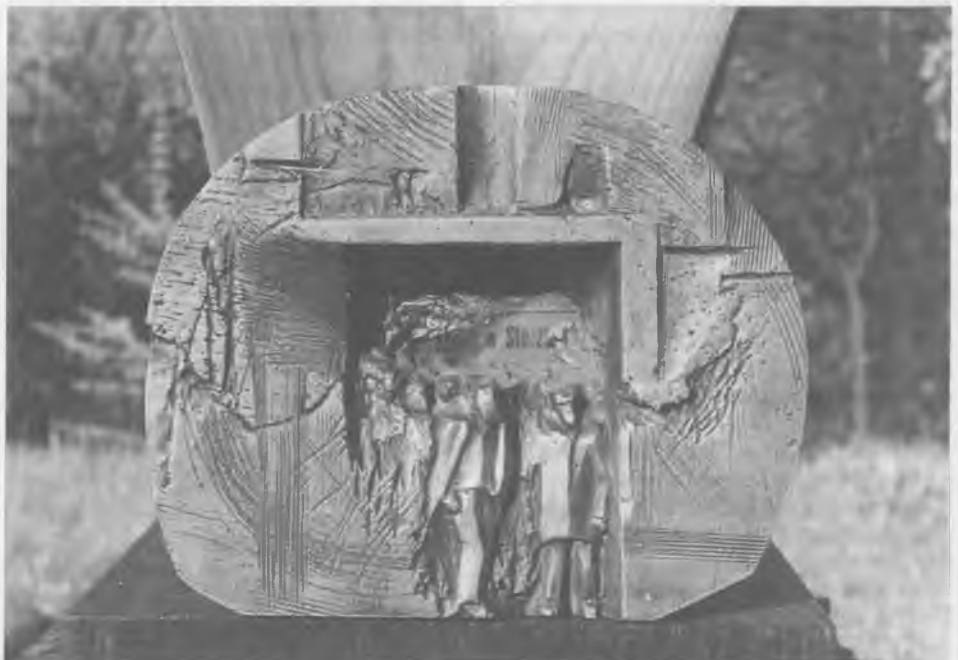
- Gdzie był odlany?

- W Gliwicach. Współpracowałam z kolegą Andrzejem Muszyńskim, który pomagał rozwiązać problemy natury technicznej... Trzeba tu dodać, iż miejsce, w którym został usytuowany, też jakby skłaniało do zrobienia go w konwencji klasycznej. Miejsce jakoś określało atmosferę. Ksiądz Popiełuszko był moim ziomkiem. Jednakże za życia go nie znałam. Natomiast po śmierci księdza Jerzego, wystudowałam z "Głosu Ameryki" ośmiu jego homilii. I wtedy poczułam, że muszę coś zrobić, dotknąć tego tematu. Jest w tym coś o charakterze mistycznym. Zrozumiałam dlaczego Popiełuszko został, musiał zostać zamordowany. Dlatego właśnie odważyłam się podjąć taki wielki temat. I nie był on dla mnie zaskoczeniem, kiedy przyszli ludzie z tą propozycją.

- Jakie są Pani plany na najbliższą przyszłość?

- Zdaję sobie sprawę, że idą ciężkie czasy. Skończyły się zamówienia. Nie liczę na nie, chociaż daj Boże. No, ale żyć trzeba. Pracuję na etacie na Politechnice Białostockiej ze studentami architektury. Zamierzam kontynuować prace nad medalami, plakietami. Marzę o tym, aby utkać jakieś tkaniny, może bardziej przestrzenne? Jeżeli trafią się jacyś klienci - nie odmówię. Tak to wygląda. No i nie odważyłam się jeszcze na indywidualną wystawę...

WYDMA





fot. PETE-foto

## Jak toczący się kamień

Jego rodzice chcieli mieć syna wykształconego. Tuż po wojnie nie było szkół muzycznych, wynajęli więc nauczyciela, który przychodził do domu i uczył go grać.

Parę lat później Jerzy Tomzík przyjechał do Białegostoku aby studiować na Akademii Medycznej. Starsi koledzy - z trzeciego, czwartego roku - utworzyli wtedy studencki radiowęzeł *Supel*. Zaprosili go do współpracy. Akurat w tym roku mija trzydzieści pięć lat od tamtej chwili. *Audycje nasze cieszyły się coraz większym powodzeniem. Nie brak im było naszego humoru. Publiczność studencka coraz bardziej zaczynała doceniać naszą pracę - pisał Tomzík w swoim pamiętniku. - Potem była wielka orka w klubie "Co Nie Co" oraz związane z tym zaległości naukowe. Wreszcie powstał kwartet, w którym na perkusji gra Sławek Hans, na kontrabasie Jurek Głowacz, na gitarze Tadek Józwiak, a ja na pianinie. Naszą pracę zainteresowało Polskie Radio, które nagrało nas i nadało audycję z bardzo pochlebnym komentarzem. Zajęła się też nami "Gazeta Białostocka" i niemal w pierwszą rocznicę mojej pracy społeczno-kulturalnej (jeżeli tak ją można oczywiście nazwać) zamieściła wzmianki. Są one dla nas pewną reklamą i należy się liczyć, że w tzw. zielonym karnawale nasze dochody znacznie wzrosną.*

Ten kwartet, to słynna w owych czasach *Ambia*, której pierwsze sukcesy miały miejsce w 1957 roku. Był to jedyny zespół grający muzykę jazzową - to się wtedy podobało i było na czasie.

Tak się złożyło, że powstał wtedy w Białymstoku *Klub Siedmiu*, do którego

przytulił się nie tylko kabaret młodzieżowy *Kolibier*, ale również zespół muzyczny o ustalonej już dobrej marce - właśnie *Ambia*. Były to chyba lata największej prosperity kulturalnej w naszym mieście. Przynajmniej teraz tak to wygląda, kiedy słucha się opowieści o balach, jakie się wtedy (i gdzie!) odbywały, o *Klubie Siedmiu* i ludziach z nim związanych, kiedy wreszcie ogląda się kroniki Jerzego Tomzika.

Te kroniki to dwa albumy ciężkie jak młyńskie koła, wypełnione zdjęciami, wycinkami z gazet, zaproszeniami i dyplomami gromadzonymi skrzętnie od chwili, kiedy Jerzy Tomzík pojawił się w Białymstoku. Właściciel twierdzi, że oglądało je dotychczas zaledwie kilkanaście osób. Rzeczywiście - odnosi się wrażenie, że dla Tomzika stanowią one wartość nie mniejszą, niż dla niektórych brylantowe kolie. Chyba nie jest to spowodowane tylko względami osobistymi. Te kroniki to również historia pewnego miasta i tego wszystkiego, co w nim związane z kulturą.

Pan Jurek mógłby godzinami siedzieć nad albumem i snuć opowieści. Bo uskładało się tego sporo. Zdarzenia, które już dawno przebrzmiały i te, o których pamięta się do dziś; twarze ludzi, którzy przez te wszystkie lata robili w Białymstoku kulturę i tych, którzy już odeszli (wśród nich - Andrzej Stolarczyk, Rysiek Skibiński). Nawet starannie powycinane fragmenty artykułów nabierają innego znaczenia. Są świadectwem działań, problemów i - w końcu - ciągłej obecności w tym wszystkim Jerzego Tomzika.

Słucham więc opowieści o latach pracy z *Diamentami* (był kiedyś taki zespół przy *Fastach*, starsi białostocczanie na pewno dobrze go pamiętają). O tym, jak zintegrowane były kiedyś w Białymstoku środowiska twórcze - aktorzy z Węgierki współpracowali z muzykami, plastykami, tworzyli kabarety; wielu z nich prowadziło amatorskie zespoły teatralne, które istniały w zakładach pracy (!). O tym, ile cennych działań realizowano wśród żołnierzy i przy ich pomocy, nikt nie pamięta.

Wśród niezliczonych zdjęć - pamiątki z pierwszej pracy z dziećmi. Był to zespół *Rozśpiewane podwórko*. Jerzy Tomzík wspomina, że wtedy po raz pierwszy miał okazję wypróbować jak wygląda wcielanie teorii w życie; jak się powinno prowadzić zajęcia z małymi dziećmi wiedział tyle, ile go nauczyli na studiach.

Później był jeszcze *Kontakt* - zespół młodzieżowy *WSS Spotem*. Oprócz tego Tomzík przez cały czas współpracował z młodymi ludźmi promując ich, gdzie się dało i przygotowując do udziału w różnych festiwalach. Jednym z nich był Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. *Teraz znalazła się pewna pani, która zarzuciła mi, że rusefikowała polską młodzież. Ja myślę innymi kategoriami: ważne jest to, jak ktoś śpiewa i o czym, a w jakim języku - to nie jest istotne. Muzyka, piosenka - nie powinny mieć granic: powinny przenikać przez granice i ludzi łączyć. A*

*festiwal w Zielonej Górze był okazją do spotkania się z amatorami. Zresztą nie było wtedy imprezy, która dawałaby tak duże możliwości amatorom jak ten festiwal. Dopiero przy końcu istnienia zielonogórskiego festiwalu zaczęliśmy się buntować, bo uważaliśmy, że za dużo przy tej okazji otoczki politycznej.*

Wiele miejsca w jego życiu zajmowały działania społeczne na rzecz środowiska muzyków. Określenie "praca społeczna" jakoś nikomu się dobrze nie kojarzy. Tu jednak chodziło o bardzo istotne dla muzyków problemy, które szczególnie dawały się muzykom we znaki podczas stanu wojennego. W efekcie tej pracy powstał *STOMUR*, a później Stowarzyszenie Muzyków Podlasia.

W opowieści przewijają się nazwy białostockich restauracji, gdzie Jerzy Tomzík pracował, nazwiska dziewcząt, które śpiewały w jego zespołach. *Pracując z amatorami nie myślę o tym, żeby wychować gwiazdę estrady - mówi Tomzík. - Chcę, żeby ten ktoś wiedział, jak słuchać piosenki, że to nie takie proste wyjść i zaśpiewać tak, aby to miało swój poziom. Niech ci, którzy ze mną pracują sami wiedzą jak słuchać muzyki, a w przyszłości - niech swoim dzieciom to przekażą.*

Nie samymi wspomnieniami człowiek jednak żyje. Zwłaszcza, jeśli jest to człowiek pokroju pana Jurka. Co robi teraz? No cóż, coraz mniej: prowadzi chór w Supraślu i zespół dziecięcy w Mońkach. A chciałby więcej. Tyle jeszcze pomysłów i marzeń niezrealizowanych - ot, choćby utworzenie reprezentacyjnego zespołu dziecięcego, klubu piosenki (był taki kiedyś w Białymstoku, co się z nim stało?), klubu tanecznego z formacją tańca towarzyskiego... Największe z tych marzeń to big-band z prawdziwego zdarzenia. Tomzík mówi jednak, że jeden człowiek nic nie zrobi. Co będzie dalej? Nie chce mówić, widzi czarno. Odchodzą z zawodu najlepsi muzycy; ci, którzy jeszcze sobie nie znaleźli sposobu na biznes, przymierają głodem. Żeby to zmienić musiałyby zajść, jego zdaniem, ogromne zmiany w środowisku kultury. Między innymi musiałyby nastąpić selekcja na tych, którzy rzeczywiście coś robią i na tych którzy się przechowiają w kulturze. *Odnoszę wrażenie, że rozmydlają się działania, brakuje walki o uratowanie środowiska. Panuje nihilizm, zubożenie. Mnie ciągle coś trzyma, zawsze zaplączę się w jakąś inicjatywę. Rzucić tak, w pół drogi - niehonorowo... - mówią to pan Jurek przewrócił ostatnią wypełnioną kartę swojego albumu.*

Co znajdzie się na następnych? Tego nikt nie wie. Jestem pewna, że zostaną zapełnione, bo kiedy myślę o Jerzym Tomziku, przypomina mi się stare porzekadło: toczący się kamień mchem nie porasta. Niech pan jeszcze długo będzie takim toczącym się kamieniem. Życzymy panu tego i z okazji jubileuszu, i tak w ogóle.

Anna Kowalska

Największy niepokój, a nawet agresję wzbudza myśl, iż sąsiad może zająć ci drogocenny czas. A pozatym ploty, ploteczki... Jesteś "ponad" i trochę już zmęczony. Nie masz potrzeby zawierania nowych, czy pogłębiania starych, przypadkowych znajomości. Nie oczekujesz niczego od innych i pragniesz mieć święty spokój. Choć przecież ze wzruszeniem wspominasz tego starszego pana, który przechodząc uśmiechał się przedziwnie łagodnie i ciepło. Zgasł, jak przysłowiowy płomień świecy. Jak on się nazywał? Ile miał lat? To ten z trzeciego piętra? Niekiedy myślisz z podziwem o tym małżeństwie mieszkającym piętro niżej. Wychowują trójkę dzieci, które zawsze są czyściutko i schludnie ubrane. Dzieci pozdrawiają cię za każdym razem, przytrzymują windę. Wyraźnie cieszą się, gdy odzywają się do nich. Lubią twoje dowcipy i dygresje. Są otwarte, oczekują kontaktu z tobą. Twoja otwartość na ludzi tak bardzo ostatnio zmalała! Dlaczego?

Istnieje znaczna liczba badań psychologicznych dotyczących efektów otwartości. Zdrowe związki między osobami opierają się na otwartości. Otwartość nie oznacza ujawniania intymnych szczegółów z twojej przeszłości. Drugi człowiek poznaje ciebie nie przez twoją historię, ale przez doświadczenie, jak reagujesz tu i teraz. Być otwartym - to znaczy dzielić się z inną osobą tym, co czujesz wobec zachodzących właśnie wydarzeń.

Ukrywanie reakcji przed innymi z powodu strachu przed odrzuceniem czy konfliktem, albo z powodu wstydu, prowadzi do samotności. Być milczącym nie znaczy być silnym. Siła to gotowość do ponoszenia ryzyka, do otwarcia, z zamiarem budowania pełniejszego kontaktu z drugą osobą. Masz większe szanse być otwartym wobec osoby, którą znasz i lubisz, niż wobec tej, której nie znasz. Rozmiary twojej otwartości będą wpływały na rozmiary otwartości tej drugiej osoby. Być

## Jak być lepszym sąsiadem

otwartym znaczy być "naprawdę". Jeżeli osoby nie czują, że mogą być otwarte, nie będą umiały pomóc sobie w kłopotach.

Bycie otwartym na innych to pokazywanie, że interesuje cię, co ktoś drugi czuje wobec tego, co ty mówisz i co robisz. Oznacza przyjmowanie jego otwartości. Powtarzam: nie chodzi o żerowanie na intymnych obszarach cudzego życia. Chodzi o gotowość słuchania. Tak, być otwartym wobec kogoś oznacza ryzykować także odrzucenie. Ktoś, kto za szybko objawia zbyt wiele swoich reakcji, może innych odstraszyć. Związki osobowe buduje się zazwyczaj stopniowo.

Kiedy wchodzisz w kontakt z innymi osobami, chcesz czy nie chcesz, musisz powodo-

wać jakieś odmiany, wstrząsy, być przedmiotem myśli, obiektem wrażeń i spostrzeżeń, budzić uczucia i reakcje. Czasami robisz takie wrażenie, jakie chcesz, ale kiedy indziej może się okazać, że niektórzy ludzie reagują na twoje zachowanie zupełnie inaczej, niż chciałbyś. Na przykład okazywanie ciepła może być uznawane za protekcjonalność, objawy złości, za żart. Twoja interpersonalna sprawność zależy od zdolności do jasnego przekazywania tego, co chcesz przekazać, tworzenia takich wrażeń, jakich chcesz, wpływania na inne osoby tak, jak zamierzałeś. Możesz tę sprawność podnieść!

Możesz nauczyć się swobodnego i spokojnego informowania sąsiada o uczuciach, jakie powstają, kiedy jego goście o 24.00 wychodząc głośno żegnają się z nim. Możesz usłyszeć o odczuciach sąsiada mieszkającego niżej, na temat twojego obyczaju chodzenia po domu w drewnianych klapkach. Ćwiczenia w udzielaniu informacji zwrotnych, ćwiczenia poprawiające i pogłębiające umiejętności kontaktu między osobami, ze szczególnym uwzględnieniem sąsiedzkich doświadczeń, były przedmiotem działań podczas zajęć programu *DIALOG* pt.: *Jak być lepszym sąsiadem*. Odbyły się one 30.01.1993 r. i były kolejnym po *Sztuce negocjacji* szkoleniem, którym program *DIALOG* pragnie przyczynić się do rozbudzenia dobrych sąsiedzkich stosunków.

Jerzy Binkowski

Do miasteczka Z. mają zjechać redaktorzy białostockiej popołudniówki. Na ścianach pojawiły się ogłoszenia - odezwy, szarpane wiatrem, w styczniowy dzień zaledwie wykłuty z wczesnego rozmazania; nabierająca wyrazistości, otrząsająca się z niedospania. Przy płocie handel ze Wschodu rozłożył się wstęgą jakiejś folii, gazet krzykliwych z czarnymi tytułami. Radio donosiło o spadającym ciśnieniu. Obok klubu *Pod Burmistrzem* leżały już pierwsze puste butelki, zostawione przez zatroskanych o zbyt niskie ciśnienie. Wiatr gnał papiery, wyrwał spod rozłożonego towaru handlującym, rozwieszał na płocie. ...*tkanie z mieszkańcami miasta i gminy* - donosiły resztki ogłoszeń. Ktoś, kiedy czytywałem się w treść, judząc podpowiadał drugiemu, rozjaśniając cel takiej wizyty: *Ty, Jozou zobaczysz, dzisiaj naszo gmine na baczność postawio, pojdziem i my posłuchać jak bendo sie wili, nasza władza jak piskorzy. Co ty nie znasz tej gazety? To w niej gołe baby na końcu drukuje. Mój zień mówił, że to majo tako stajnie babow i fotografuje. Ja przyszed, bo do nas pewnie przywiozo! He, he, he, he. Długo jeszcze śmiech wyciskał się ze szczerbatej gęby, osiadał resztkami na zaroście i zdawało się, że dalej kpił: *Przywiozo, ja ci to mówie, przywiozo i zobaczysz jak do gminy po schodach będą wchodzić, tytkami ruszać. I te redaktory przyjado. Cyrk będzie na catego. I kultury tykniesz a to w chamstwie sie**

*utopisz. A potem pytanie padło w moją stronę: A może coś będą rozdawać, jakieś fanty, nu jakieś nagrody, niespodzianki. Nie wiesz pan? - Nie wiem - odpowiedziałem.*

Potem już w klubie rozmowa toczyła się długo, padały pytania, stosujący na baczność nie wiedzieli czy biec po czajnik i rozlewać herbatkę. Stali przesłuchiwani i wsłuchiwali się w innych zeznania. O szyby uderzał wiatr coraz natarczywiej, jakby chciał wejść do środka, zakotłować fryzury pań, porozrzucić

niej uderzają się nie we własne piersi, ale w cudze. Z lotu ptaka, zdawało się, że czas inaczej odmierza rytm życia. Budynki z zapadłymi dachami wyglądały malowniczo.

*A ten redaktor, jakoś tak na Gie, nie pomnie jego nazwiska, ten co to kościoty i cerkwie by rozwał, czy on przyjedzie? Nie wie pan? Bo nasze świątyni już wrychowane jak na Dom Boży przystało, a ta może błotem obchlapać, to my by czujki swoje postawili. Wie pan, pan sie śmieje, a ja swoje wiem, że nienawieść trudna jest do opanowania. Pan jeszcze pożyjesz to zobaczysz! Mnie córka tłumaczyła, że dla satanistów najważniejsze jest słowo i jak nim obracać, żeby ludzie na siebie z pazurami sie rzucali; po drugie, żeby tak zgłupieli, żeby nie wiedzieli już co prawda, a co kłamstwo,*

## Z zapiśnika

"prace nieprofesjonalistów", wydrzeć kartki i karteczki mówiącym i zapisującym.

A teraz patrzyłem na małe miasteczko Z. z lotu ptaka, na kolorowe dachy, na połyskujące z boku nowe, bielejące tynki. Nie był to kolorowy Disneyland, ale szło nowe, oblewało farbą płoty, nakładało tynki, porządkowało obejścia. Z lotu ptaka to miasteczko zdawało się nabierać oddechu, jakiejś nowej fryzury, nie było widać walających się puszek, butelek, papierów; nie słychać było ludzkich narzekań, nie krążyli wokół budynku gminnego ci, którzy zawsze są niezadowoleni i najchę-

*co dobro a co zło; a po trzecie, pan słyszy jak oni śpiewają - to ma być ich język przekazywania tych ciemnych prawd. Pan nie wiesz? Ja kiedyś panu przyniosę książkę amerykańca, który obwołał się ich najważniejszym przywódcą.*

Wiatr znowu począł gnać papiery w inną część rynku. Jakichś płacheć gazety zatrzymał się przy obelisku i zastygł. *Chodź pan, są redaktory - ktoś mnie przywoływał. W małym miasteczku Z. wiał tego dnia silny wiatr.*

Jan Leończuk



fot. PETE-foto.

## Wytańczyć konkurs

*Zielone nutki* mają czapki jak krasnoludki i pretensje do organizatorów, że w trakcie ich występu nie migotało czerwone światło, bo żółte i zielone było.

- Jesteście tak kolorowo ubrane, że czerwone światło wcale nie było potrzebne - pociesza naczycielka i kierowniczką zespołu ze Szkoły Podstawowej nr 48 w Białymstoku. Zespół liczy 20 dziewczynek w

wieku od ośmiu do dziewięciu lat. Jest także jeden rodzynek. Szkoła powstała w roku szkolnym 1991/92, a wraz z nią zespół. Po feriach będzie w nim sześćdziesiąt osób, chętne są.

Zespół z Bociek ubrany jest w stroje w duże kropki. Członkowie innych zespołów preferują czarne trykoty.

Na **Przegląd Zespołów Tanecznych pn. Karnawał Taneczny '93** przybyło z całego województwa siedemnaście zespołów tanecznych liczących ponad dwieście pięćdziesiąt osób. Zespołów działających w klubach, domach kultury, świetlicach,

## Klops i ... po herbacie?

Nasze nieprzystosowanie do demokracji i nieprzystosowanie wolnego rynku do naszych uwarunkowań genetycznych odbijają się też na dotychczasowym modelu uprawiania sztuki. Tak zwana sztuka nieprofesjonalna szczególnie odczuła upadek mecenatu państwowego. Tam, gdzie profesjonalni organizatorzy animują nieprofesjonalną twórczość - pół biedy. Gorzej, gdy jedni i drudzy to amatorzy.

Białostocki ośrodek różni (różnił) się od innych. Tutejsze Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury było otwarte - skupiało również (aczkolwiek niewielu) zawodowych literatów czy plastyków. Było więc na pograniczu. Zresztą - tak jak wszystko w tym regionie. Szczególnie plenery malarskie to

potwierdzały. Tradycją od paru lat był bowiem udział w nich profesjonalistów z cenzusem akademickim - nie tylko z kraju. Mam nadzieję, że korzyści z tak pomyślnych plenerów były obustronne.

Szacunek do tradycji na niewiele się zda, jeżeli brak środków. Dziś kilkudniowy plener dla kilkunastu osób, to koszt kilkunastu milionów. Jak i gdzie je uzyskać?

Ongiś dyrektor WDK - człek światły i otwarty, nie skąpił grosza - w zamian chciał tylko na coraz wyższym poziomie prac. Najczęściej obie strony miały satysfakcję. Byli też inni mecenas. Naraz klops i ... po herbacie. Pleneru '92 nie było.

A jak radzą sobie inni? Do szefa białostockiego RSTK napłynęło w 1992 r. kilkadziesiąt zaproszeń z wyszczególnieniem warunków, jakie należy spełnić. Najczęściej za tygodniowy pobyt należało wpłacić ok. jednego miliona złotych, oraz zostawić organizatorom dwie prace plenerowe. Wiem, że z Białegostoku z zaproszeń skorzystały dwie osoby plus niżej podpisany. Z rewelacyjnej oferty - pobytu w znanym beskidzkim kurorcie, za symboliczną opła-

szkołach. Organizatorem przeglądu był Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury, Wydział Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego oraz Kuratorium Oświaty i Wychowania.

Dwudziestego drugiego stycznia br. mali artyści przeglądu przybyli do Białegostoku przed godziną dziesiątą i wystąpili w siedmiu szkołach spotykając się z aplauzem widowni. Zabawnie wyglądało rozdawanie autografów przez młodych, a nawet bardzo młodych artystów.

O czternastej w Zespole Szkół Zawodowych nr 1 rozpoczął się konkurs, któremu kibicowała ponad siedmiusetosobowa publiczność, przede wszystkim ze Szkoły i internatu. Przez salę przewinęło się znacznie więcej osób, bo gdy jedni wchodzili - inni wychodzili.

W pewnym momencie, gdy wyglądało na to, że jakaś klasa z tomistrami razem z panią przyszła popatrzeć, dzieci weszły na scenę i zaczęły tańczyć. Występ odznaczał się niezwykle prostym układem i ogromną dynamiką. W ten sposób zespół ze Szkoły Podstawowej nr 21 wytańczył i wyśpiewał jedno z trzech równorzędnych wyróżnień. Wyróżnienia zdobyły także najmłodsze *Zielone nutki* i zespół *Salem* z klubu osiedlowego *Zenit* w Białymstoku, zaś nagrodę dyrektora WOAK najstarszy - bo składający się z młodzieży w wieku od 15 do 22 lat - *Jazz Dance*, działający pod kierownictwem Marii Gierasimiuk.

Przegląd odbył się w tym roku po raz pierwszy. Czy warto go kontynuować? Gromkie brawa licznej widowni są odpowiedzią.

Waldemar Fiedorowicz

... tą za dwie osoby - skorzystałem i zgłosiłem Danutę, która nieprzypadkowo nosi moje nazwisko.

Organizator - RSTK Tychy - jak na Ślązaków przystało zorganizował wszystko bez improwizacji. Istniała ściśle określona hierarchia: "ludzi Prezesa", zdarzeń, ba - nawet tematów malarskich i sposobu ich realizacji. Poziom prac plenerowych był niezwykle wysoki. Pejzaże olejne *Zenona Kaczmarzyka* (15 dioptrii) z Ostrowa Wlkp., *Mariana Majkuta* z Oświęcimia czy akwarele *Adama Bloka* z Krakowa mogą być ozdobą każdego salonu.

A Białostoczanie?

Nie było źle. Danka odnosiła sukcesy towarzyskie, a o sobie skromność nie pozwalała wspominać.

Rozrywki też były - bo to przecież nieodłączny element plenerów. Nie wypada tu pominąć, że najlepszy na parkiecie był sam Prezes Rady Krajowej RSTK dr Paweł Soroka.

Tadeusz Grajter

KSIĄDZ TO JESZCZE  
NIE KOŚCIÓŁ!



kiem w Oratorium Św. Jerzego w podziemiach Kościoła Św. Wojciecha. Ks. rektor **Tadeusz Krachel** opowiadał o dniu dzisiejszym i przeszłości naszej metropolii, która - jako białostocka - została powołana dwa lata temu bullą papieża. Liczy ona 6 tys. kilometrów kwadratowych i 83 parafie, położone między Biebrzą i Narwią a wschodnią granicą Polski; zamieszkuje ją około pół miliona mieszkańców, w tym 400 tys. katolików. Wcześniej tereny te należały do Metropolii Wileńskiej. Najstarsze parafie są w Goniądzu i Suraziu, założone jeszcze przez księcia Witolda w początkach XV w. Najwięcej parafii powstało w XVI w., miało to związek z nasileniem osadnictwa w tym okresie. Po klęskach powstań postępująca likwidacja parafii, powstrzymana po 1905 r. Intensyfikacja życia parafialnego miała miejsce w okresie międzywojennym i ostatnich latach. W samym Białymstoku jest 16 parafii - za mało jak na potrzeby wiernych.

Ks. biskup **Edward Ozorowski** w imieniu ks. arcybiskupa Edwarda Kisielea powitał zebranych (a było ich około pięćdziesięciu) i powiedział o kilku najważniejszych wydarzeniach w życiu Kościoła, które miały miejsce na przełomie roku. W październiku

wyszedł nowy katechizm; zaś w styczniu biskupi polscy nawiedzili progi apostolskie i spotkali się z papieżem Janem Pawłem II; odbywają się dwa synody: plenarny i archidiecezjalny (ostatni był w 1931 r.).

Właśnie synod archidiecezjalny zainteresował dziennikarzy. Czy mogą go obserwować? Odpowiedź była dość nieoczekiwana - dlaczego dziennikarze, którzy przecież są wścibscy i dociekliwi, gdy zdarzy się jakaś nieprawidłowość dotycząca działalności księży, nie przejawiają większego zainteresowania prawdziwym życiem Kościoła. Wynikła także dyskusja dotycząca najistotniejszego dla dziennikarzy problemu - ustawy wprowadzającej chrześcijański system wartości do Radia i TV, być może także do przygotowywanego prawa prasowego. Ludzie pióra obawiają się jak ognia jakiegokolwiek cenzury - zarówno jawnej jak i wewnętrznej - doznali przecież przez 45 lat jej porażającego działania. Jeśli wartości chrześcijańskie można sprowadzić do zasady *dobro czyni - złego unikaj*, to na pewno istnieje co do niej zgodność między ludźmi o różnych światopoglądach - padła odpowiedź.

I. W.

## Dobro czyni - złego unikaj

Kuria Metropolitalna zaprosiła dziennikarzy pism województwa białostockiego na przełamanie się oplat-

## Apostoł Stachury znowu w Białymstoku

...Idź człowieku, idź rozpowiedz  
Idźcie wszystkie stany...  
Dla wszystkich starczy miejsca  
Pod wielkim dachem nieba...

Tak nawoływał Stachura. Podobno dla tych, którzy mieli z Nim kontakty, jest On kimś świętym, niemalże zawędrował na ołtarze. Dzisiaj kiedy Sted już tupie z Potęgą w niebieskiej tańcudzie, bardzo wielu wyznawców pamięta o Nim tu - na ziemi.

Niemalą zasługę ma w tym **Jan Kondrak**, który mówi, że Stachura pomógł mu jako pisarz wyjść z wirażu, dlatego z jakąś misjonarską pasją zaczął wyśpiewywać zrazu prywatnie, a od paru lat oficjalnie jego poezję. W Białymstoku Kondrak był już parokrotnie (ostatnio w listopadzie

ubiegłego roku), 11.I.1993 r. wystąpił zaś na zaproszenie Andrzeja Karolczyka w Zespole Szkół Budowlanych. I choć zawód murarza nigdy mnie nie pociągał, z chęcią udałam się do "budowlanki", aby posłuchać Misjonarza.

Oczywiście na samym początku Janek (dostałam zaszczytu poznania go) śpiewał o piekle i niebie - *Piosenka nad piosenkami*.

Potem były inne utwory Steda. Kondrakowi towarzyszył **Piotr Mikołajczyk**, który tylko raz popisał się śpiewem, za to przez cały czas wyciskał z siebie siódme poty (nie tylko w przenośni, ale i dosłownie) perfekcyjną grą na gitarze. Po koncercie wspominał mi, że jest uczniem Wojciecha Warszawskiego. Piotr skomponował muzykę zarówno do piosenek Mistrza, jak i Janka, który nie zapominał nauczać również własnymi słowami.

Wszyscy zebrani w sali gimnastycznej mogli więc przez prawie godzinę posłuchać dobrej, ambitnej muzyki. Pod koniec Kondrak kusił jeszcze Ziemią Obiecana... No cóż, czy to apostoł nie był zbyt przekonywujący, czy to w szkole byli sami poganie - dość, że po koncercie garstka dziewczyn zamiast po autografy do wykonawców, pobiegła po sprawdzone podczas występu kartkówki.

A Jan Kondrak i Piotr Mikołajczyk? Chyba nie byli rozczarowani publicznością. Gitarzysta obawiał się wręcz "rzucania plasteliną". Falszywa skromność, czy trochę tremy, bo chyba nie zdarzyło się, żeby duet był prześladowany z powodu imienia Stachury?

**Agnieszka Bartoszewicz**

Niejeden personalny orzeł wleciałby, gdyby miał pozwolenie na lewitację.  
\* \* \*

Aby mieć sukcesy, nie wystarczy trzymać dłoni na pulsie. Samemu trzeba pulsować.  
\* \* \*

Nasze grzeszne, straszne, ale nie pozbawione swoistej pikanterii czasy: Sodoma i H u m o r a.  
\* \* \*

Tempo ślimacze przemian krajowych można uczynić nośnym: ślimak a sprawa polska.  
\* \* \*

Czas totalnego zanikania urody: nawet madonny lechickich pól nam zmatowiały.  
\* \* \*

Narodowi cudownie nietypowemu w Europie i w świecie wciąż brak typowego sposobu na życie.

**Zbigniew Waydyk**

# Ostatnia wielka książka emigracji

Czy istnieje jeszcze literatura emigracyjna? Takie pytanie, postawione w piątym roku intensywnego przyswajania dorobku naszego uchodźstwa, wydaje się pozabawione sensu. A jednak śledząc ten proces trudno ustrzec się przed refleksją, że rządzi nim jakaś niepojęta logika. Dopiero niedawno ukazała się fundamentalna praca ogarniająca całość półwiecznych dziejów polskiej literatury powstającej poza krajem. *Szkice o literaturze emigracyjnej* Marii Danilewicz-Zielińskiej. Książka, od której powinien zaczynać się kontakt z literaturą przez całe dziesięciolecia zakazana, pojawiła się na rynku księgarskim w momencie, gdy półki zapełniły się dziełkami - delikatnie mówiąc - różnej wartości. Ale przecież poza krajem powstały wielkie dzieła, książki-legendy, o których po prostu wiedziało się, nawet jeśli nigdy nie miało się ich w rękach. I jeżeli do dziś nie przedrukowano ani jednej antologii poezji żołnierskiej wydawanej przez niezastąpionego Jana Bielatowicza, podobnie jak wstrząsających książek Herminii Naglerowej, to jest to oczywiście skandal, jeżeli jednak pięć lat bez mała musieliśmy czekać na *Dziennik Jana Lechonia*, należy to uznać właśnie za przykład owej niepojętej logiki.

Polska literatura emigracyjna bez Lechonia jest po prostu nie do pomyślenia. Był on nie tylko najpełniejszym ucieleśnieniem emigracyjnego losu, ale i niekwestionowanym strażnikiem uchodźczym pieczęci, arbitrem niepisanego kodeksu wygnania. Pozostał nim - można powiedzieć z odrobiną patosu - nawet po śmierci. Mówił o tym łamiącym się głosem Kazimierz Wierzyński na pogrzebie przyjaciela: *Czy istotnie zmarli rządzą żywymi? Nawet jeśli tak nie jest, Lechoń zaczął swoje życie pośmiertne od takiego uderzenia w nas, przyjaciół pozostałych na ziemi, że trudno wyzwoić się spod jego władzy. Zawiesz miał w sobie instynkt dominowania, lecz dopiero teraz, gdy możemy mu ofiarować nie więcej niż pamięć, zawładnął nami naprawdę.*

Jeżeli zgodzimy się z tym sądem, to z kolei powinniśmy uświadomić sobie, że bez znajomości *Dziennika* trudno w ogóle mówić o Lechoni. Stąd dzieło to, opublikowane w latach 1967-1973 nakładem londyńskich *Wiadomości* i Polskiej Federacji Kulturalnej, od początku spotkało się z ogromnym zainteresowaniem, a nieliczni krajowi badacze poezji Jana Lechonia, którym udało się przesznuć przez granicę trzy obszerne tomy, jeździli po kraju i na zamkniętych spotkaniach dzielili się z w tajemniczością swoją lekturą.

Istotnie *Dziennik* był czymś niepojętym. Jeżeli cały czterdziestoletni dorobek Le-

chonia - poety mieści się na dwustu stronkach, to pisany przez niespełna siedem lat *Dziennik* obejmuje tysiąc siedemset osiemdziesiąt sześć szczerze wypełnionych stron. Nie można przy tym powiedzieć, że tworzący z ogromnym trudem poeta odnalazł się wreszcie jako prozaik. Nic bardziej błędnego! Pisana równoległe z *Dziennikiem* proza powieściowa nigdy nie została ukończona, a opublikowane fragmenty liczą niespełna dziewięćdziesiąt stron.

W czym więc tkwi tajemnica owej iście benedyktyńskiej pracy nad *Dziennikiem*. Poeta - o czym powszechnie już wiadomo - zaczął swoje codzienne zapiski za namową lekarza, który w ten sposób chciał pomóc znajdującemu się w depresji pacjentowi. Wkrótce miało się jednak okazać, że ta podjęta li tylko ze względów psycho-terapeutycznych praca stała się czymś ważnym, a zapisywane z takim trudem, ale i uporem stronice, złożyły się na dzieło, które przerosło samego autora. Lechoń nigdy nie rozstawał się z zapisanymi "kajetami", nawet jeżdżąc od znajomych do znajomych zawsze zabierał walizkę, której strzegł jak źrenicy oka. Miał świadomość, że mogą okazać się bezcennym uzupełnieniem biografii twórczej, *tak fatalnie* - jak sam mówił - *popsutej. Trzydzieści pięć lat mego życia* - zanotował w jednym z pierwszych zapisków - *płynęło w nurcie ważnych wypadków, znałem wszystkich prawie ludzi, którzy w tym czasie byli czymś w Polsce, a później w Paryżu. I wszystko - nigdzie się nie utrwaliło, leży bez ładu w mej coraz gorszej pamięci. Dzisiaj jestem pustelnikiem, zamkniętym i z konieczności i z własnej filozofii w ciemnym pokoju na West Side. I właśnie teraz zachciało mi się śledzić moje życie tak szare i ubogie. Ciągle tapie się na myśli: gdybym to pisał od dwudziestu lat, to na pewno wśród plewów i błahości tych wspomnień byłoby parę tęgich tomów ważnych i bujnych.* Ta determinacja sprawiła, że mimo różnorodnych kryzysów, depresji i zwyczajnych chorób poeta nie opuścił ani jednego dnia i dopiero na osiem dni przed swoją tragiczną śmiercią zaprzestał pisanie.

Mam nadzieję, że nie jest konieczne przypominanie w tym miejscu kim był Jan Lechoń dla literatury II Niepodległości. Jego ranga poetycka już usprawiedliwiała by nasze zainteresowanie *Dziennikami*. A przecież był to człowiek o tak niezwyklej i po ludzku tragicznej biografii, że uchylenie choćby rąbka tajemnicy na temat jego osobowości, budzi wcale nie płaską ciekawość. On, który w dziecięcym wieku przekroczył próg literatury wydając dwa zbiorki juveniliów w czternastym i piętnastym roku życia, a w gimnazjum został okrzyknięty dramaturgiem, gdy wystawiono jego jednoaktówkę w łazienkowskiej Pomarańczarni z takimi luminarzami scen warszawskich jak Józef Węgrzyn, Jerzy Leszczyński i Janina Syllizanka, na progu dojrzałości zaznał sławy, jaka przeznaczona

jest tylko dla najwybitniejszych artystów. U progu II Niepodległości autora *Karmazynowego poematu* uznano za następcę Mickiewicza, Słowackiego i Wyspiańskiego, czego wymownym świadectwem była głośna książka Wilama Horzycy *Dzieje Konrada. Któż to jest ten Lechoń?* - miał pytać Jacek Malczewski. *Co to za nazwisko pachnące Polską, Słowackim, legendą, tajemnicą?*

I gdy jeszcze dodamy, że niemal całe życie Lechonia upłynęło pośród najwybitniejszych postaci jego epoki, że cieszył się uznaniem Józefa Piłsudskiego, że przyjaźnił się z Arturem Rubinsteinem, Karolem Szymanowskim, Stefanem Żeromskim, Leopoldem Staffem, że żartował ze starym Or Otem nieustannie wybierając się do aktoreczek (*szcuple na lato, pełne na zimę...*), że dotrzymywał kroku Wieniawie-Długoszowskiemu w nocnych eskapadach do *Adrii*, że zapewnił miejsce w polskiej poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, dając słowo honoru, iż jest znakomitą poetką, że wreszcie już na emigracji był jednym z pierwszych czytelników maszynopisu książki Ewy Curie o jej matce, to trudno doprawdy znaleźć kogoś innego, kto tak skupiałby wokół siebie główne nurty życia towarzyskiego, artystycznego, politycznego wreszcie. Wszystkie te postacie utrwalił na kartach *Dziennika*, raz bardzo serio, jak Piłsudskiego, którego nazwał najważniejszym przeżyciem swojej młodości, raz z życzliwym uśmiechem, jak wspomnianego Or-Ota czy *Poldzia* Staffa, niekiedy zaś ze słynną lechoniowską złośliwością, jak dawnego przyjaciela spod Pikadora, Jarosława Iwaszkiewicza *podlizującego się (nowej władzy) jakąś rosyjską przeszłością.*

*Dziennik*, pisany w latach 1949-1956 jest, poza innymi walorami, niezwykle interesującym komentarzem z oddali do życia społecznego i kulturalnego w Polsce czasów stalinowskich.

W tych właśnie partiach Lechoń ujawnia swoją bezkompromisowość w ocenie ludzi i zdarzeń, nawet wcześniejszych przyjaciół: *Okropność, zgroza, co za plugawe, zdradzieckie, ryszotkowe rzeczywiste poeci w Polsce. Mała kanalia o wielkim wariackim talencie, Gaczyński, chwali się w liście do żony, że widział samego Mototowa. Broniewski, pewnie już zapity do ostatecznego upodlenia, wyrzeka się wszędzie polskiej poezji na rzecz pism Lenina. Naprawdę że Tuwim przynajmniej w wierszach jeszcze najlepiej się trzyma. Ale za to podpisuje obiema rękami wszystkie nikczemności.* (24 stycznia 1950).

Wszystko to sprawia, że krajowa edycja *Dziennika*, mimo, iż jest tylko przedrukiem londyńsko-nowojorskiej edycji (bez namiastki choćby opracowania krytycznego, przypisów, komentarzy), stanowi prawdziwe wydarzenie wydawnicze

**Waldemar Smaszcz**

Jan Lechoń, *Dziennik*. Tom 1 i 2. Warszawa 1992.





## Długo trwało milczenie...

*Przemilczana okrutna prawda nie może być zapomniana ani wymazana z pamięci pokoleń, które zawdzięczają swoją przeszłość ofierze krwi i życia swoich ojców.*

*(z Księgi Pamiątkowej poświęconej ppor. Czesławowi Sucharskiemu).*

**Wiktor, syn Czesława Sucharskiego:** Ostatni raz widziałem Ojca w moje 11 urodziny - 15 września 1939 r. Niemcy stali nad Narwią w Bokinach; wiedzieliśmy, że lada godzinę wkroczą do Białegostoku. Od wybuchu wojny Tata zgłaszał się kilkakrotnie do komendy uzupełnień, bo był oficerem rezerwy (ukończył podchorążówkę w Grudziądzu). Kazano mu czekać i nie nocować w mieszkaniu. 15 września, w południe, przyszedł syn nauczycielki, pani Kokocińskiej, osiemnastolatek, który rwał się do wojska, z wezwaniem od dowódcy jednostki broniącej odcinka frontu, aby Ojciec zgłosił się do jednostki. Ojciec miał mundur, co prawda letni i "trofiejną" broń z wojny 20 roku - parabelum - którą mnie - jedenastolatka fascynowała. Zjedliśmy jeszcze obiad, Ojciec ubrał się i wyszedł, a o trzeciej po południu wkroczyli Niemcy.

W chwilę potem była potyczka - bo trudno to nazwać bitwą - na górze koło obecnego PGR Ignatki - zwanej Lisią, lub Szwedzką Górką. Wzgórze było umocnione i było z niej widać jak na dłoni cały teren do rzeki Ilorodnianki i Księżyna. Ojciec brał w tej potyczce udział, a potem, wraz ze swoją jednostką wycofał się na wschód i tam dostali się w ręce Rosjan. Dowiedzieliśmy się o tym w listopadzie. Pan Borowski, który spotkał Ojca w Kozielsku, przyszedł do nas,

żeby nam o tym opowiedzieć. (Został zwolniony wraz z szeregowcami i podoficerami - przyp. red.)

**Z Księgi Pamiątkowej - Jan Borowski:** Rzuciliśmy się sobie w ramiona, całując się i życząc szybkiego wydostania się z tego piekła... Z zachowania enkawudzystów zorientowałem się, że wracam do domu. Pilnowałem, aby móc pożegnać się z panem Sucharskim, kiedy ten przyjdzie po posiłek do kuchni obozowej... Prosił, aby przekazać do domu wiadomość: Jestem zdrowy, żywy i mam nadzieję, że wróce! - Powiedział jeszcze: Proszę nie mówić, jak my tu naprawdę żyjemy... Rozmawiałem z panem Sucharskim po raz ostatni 11 lub 12 listopada 1939 r.

**Mówi Wiktor Sucharski:** Pierwszy list z Kozielska, pisany w listopadzie, otrzymaliśmy w pierwszych dniach grudnia, drugą kartkę między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, trzeci list w lutym, ostatni - z 5 marca 1940 r. 13 kwietnia, między 1 a 2 w nocy pod nasz dom w Księżynie podjechali z wygaszonymi światłami enkawudziści. Kazano się nam ubrać; powiedziano, że jedziemy do Ojca, który znalazł pracę (wywieźli nas do kotłochy w Kazachstanie, 300 km od Omska). Prawda była taka - Ojciec nie żył już od czterech dni - 9 kwietnia został rozstrzelany w Katyniu.

**Krystyna Zimnoch - bibliotekarka w Szkole Podstawowej w Księżynie:** Sama jestem zaskoczona, że mnie tak to mocno wciągnęło. O Katyniu słyszałam w domu. Zawsze zastanawiałam się dlaczego historia, której uczę się w szkole, nie zgadza się z historią, którą słyszę od mojego ojca. W "Głosie Nauczyciela" przeczytałam listę katyńską - zwróciłam uwagę na nazwisko człowieka, który nieśkał niedaleko stąd, w Tołczy. Poszłam do dyrektorki szkoły, a ona mi na to: powinna pani wiedzieć, że u nas w szkole pracował człowiek, który zginął w Katyniu; pokazała mi "Kurier Podlaski" z listami Czesława Sucharskiego z Kozielska. Był tam taki fragment: Zaczynam pozdrowienia miłemu sąsiadziwu... oraz dzieciarni szkolnej, szczególnie mym wychowankom. Myślą i sercem jestem zawsze z nimi. Chciałabym żeby i oni czasem o mnie wspomnieli (26 XII 1939 r., obóz jeniecki w Kozielsku). Pomyślałam - nie, to tak pozostać nie może - trzeba przywrócić pamięć o nauczycielu, który uczył w naszej szkole, znaleźć jakieś dokumenty, nawiązać kontakt z rodziną.

Dzięki poparciu dyrekcji, we wrześniu 1989 r. wystąpiłam z wnioskiem do rodziców i dziadków uczniów o utworzenie komitetu, który ufundowałby tablicę pamiątkową poświęconą ppor. Czesławowi Sucharskiemu. Poprosiłam także o wspomnienia o nim i wyszukałam w dokumentach szkolnych arkusze ocen i świadectwa z podpisem Czesława Sucharskiego. Dzięki znajomym nawiązałam także kontakt z rodziną podporucznika - synem Wiktorem i córką Zdzisławą Szyfman. Zbiórka pieniędzy przerosła wszelkie oczekiwania, lista zawiera nazwiska ponad dwustu osób. Teraz stanął przede mną problem - kto wykona tablicę pamiątkową? Znalazłam wykonawcę. Pan Jan Wakuliński, artysta - plastyk, wspinał się człowiek, z całym sercem podjął się wykonać tablicę z wizerunkiem Sucharskiego. A należało się spieszyć. Dewaluacja powodowała, że w każdej chwili nogami zostać z niczym, a przecież nie miałabym śmiałości ponownie wystąpić o pieniądze. 31 stycznia 1990 r. - w czasie ferii zimowych - wmurowaliśmy tablicę:

**Pamięci bohatera września 1939 ppor. Czesława Sucharskiego, nauczyciela szkoły w Księżynie w latach 1931-1939, bestialsko zamordowanego przez stalinowskie NKWD**

**w Katyniu 9 IV 1940. W 50-tą rocznicę tragedii społeczeństwo i nauczyciele. Księżyno 1990.**

Uroczyste odsłonięcie tablicy odbyło się 22 kwietnia. W części artystycznej wystąpiła Orkiestra Podlasko-Mazurskiej Brygady WP i uczniowie szkoły.

Siedzimy z panem Wiktorem w mieszkaniu pani Krystyny Zimnoch i przeglądamy Księgę Pamiątkową. Przyjechaliśmy z nią ze szkoły w Księżynie. Była właśnie przerwa i mnóstwo starszych i młodszych uczniów wybiegało z klas. Na widok pana Wiktora przystawali i klaniali się grzecznie. Znają go tutaj. Rokrocznie, od chwili odsłonięcia tablicy, odbywają się uroczystości poświęcone pamięci ppor. Czesława, w których bierze udział jego syn.

W Księdze Pamiątkowej znajdują się także wspomnienia uczniów o nauczycielu.

**Roman Dunaj:** Jako nauczyciel był bardzo dokładny, potrafił poświęcić jednemu uczniowi całą lekcję. Słowny - co obiecał to dotrzymał. Sprawiedliwy - nie wyróżniał nikogo, pracowity - poświęcał swojej pracy wiele czasu poza lekcjami np. przy pomocy w nauce uczniom, w pracach porządkowych przy ogródkach szkolnych.

Pan Wiktor mówi także o swoim Ojcu: Uczył przedmiotów ścisłych - matematyki, fizyki, a także wychowania fizycznego: Miałem zawsze za matkę Ojca, był wiecznie zajęty, m.in. pomagał przy budowie szkoły w Księżynie i dużo pracował społecznie.

O tym, że umiał postępować z młodzieżą może świadczyć taka historia: W dzieciństwie bardzo bałem się burzy i chowałem się wtedy w najciemniejszym kącie. Kiedy Ojciec to zauważył wyszedł ze mną na ganek domu i zaczął opowiadać o swoich przeżyciach z wojny bolszewickiej. Tak mi się to spodobało, że w duchu modliłem się o częstsze burze i do tej pory je lubię. Ojciec był prawym człowiekiem, uczył, że trzeba mieć odwagę przyznać się do swoich uczynków, i tak postępować, aby nie wstydzić się tego, co się zrobiło.

Pytam pana Wiktora, kiedy rodzina uzyskała pewność, że ich Ojciec zginął. - Od znajomych, mieszkających w zachodniej Polsce (Ojciec pochodził z Koła w Wielkopolsce) dowiedzieliśmy się, że w niemieckiej gazdinówce ukazały się dokumenty z ekshumacji zwłok w Katyniu, dokonanej przez Czerwony Krzyż. Pod numerem 1630 w pierwszym grobie odkopano zwłoki Ojca. Nie dowierzaliśmy jednak propagandzie niemieckiej i ciągle mieliśmy nadzieję, że Ojciec przedostał się gdzieś na Zachód i nie może się z nami skontaktować. Szukaliśmy Go poprzez ambasady, Czerwony Krzyż, Czerwony Półksiężyc. W czerwcu 1948 r. dostaliśmy list z Moskwy - uczennica Taty, która pracowała w ambasadzie polskiej, przystała zawiadomienie, że Ojciec zginął w Katyniu, oczywiście z zaznaczeniem, że zamordowali Go Niemcy. Tak, że przed ogłoszeniem oficjalnych list, które przywiózł Gorbaczow Jaruzelskiemu, nie mieliśmy żadnych wątpliwości: Ojciec zginął 9 kwietnia w Katyniu, zamordowany przez NKWD.

*Oficerowie polscy na miękkich kolanach*

*Z rękami związanymi krótkim, szorstkim sznurem*

*Mocnym kopnięciem nogi znad krawędzi dołu*

*Padali w zimną ciemność po strzale w tył czaszki.*

**Iwona Wąsowicz-Szczepaniak**

## Romans w stylu Harlequina

Urodził się w szlacheckim dworze pod Nowogródkiem. Ignacy Domeyko - bo o nim tu mowa - od wczesnej młodości wykazywał poważne zainteresowania. Pasjonowały go głównie nauki przyrodnicze i geografia. Zbierał minerały, przez szkło powiększające przyglądał się ziarnkom piasku, by poznać tajemnicę kwarcu. W czasie studiów na Uniwersytecie Wileńskim poznał Adama Mickiewicza. Wspólnie działali w Towarzystwie Filomatów.

Dziś nawet poloniści starają się zapomnieć, iż grono to było młode i oprócz patriotycznej agitacji niosło z sobą młodzieńczą radość życia. Ich hymnem była pieśń o znajomym zwrotce:

*Ach, użyjmy żywota  
Wszak żyjemy tylko raz  
Niechaj ta czara złota  
Na próżno nie wabi nas*

Od tego radosnego grona wyraźnie odbijała postawa Domeyko - zawsze poważnego, nieustannie zajętego jakimś kamieniem. Piękno upatrywał tylko w przyrodzie i opasłych księgach. To spokojne życie przerywa arestowanie i proces Filaretów. Osadzony, jak inni koledzy, w celi dawnego klasztoru bazylianów tu dopiero zaprzyjaźnia się z Mickiewiczem, a uczucie do przetrwa lata. Przez jakiś czas nawet, już na emigracji, zamieszkałą razem. A ślad ich wieczornych rozmów o kraju lat dziecinnych utrwalał w sobie na kartach *Pana Tadeusza* w postaci opowieści o Domeyce i Doweyce.

W wyniku wyroku sądowego Ignacy skazany zostaje na nadzór policyjny i nie wolno mu opuszczać wioski. Dopiero po siedmiu latach na skutek zabiegów rodziny otrzymuje zezwolenie na wyjazd do Królestwa. Czas pobytu w Warszawie wykorzystuje na ... udział w powstaniu listopadowym. Po jego upadku, zagrożony zsyłką na Syberię, ucieka do Drezna, a stamtąd wyjeżdża do Pręży.

Tu - nie wdając się w emigracyjne spory na temat przyczyn klęski listopadowego zrywu - znów zatapia się

w książkach. Rozpoczyna studia w Ecol des Mines i w 1837 roku otrzymuje tytuł inżyniera górniczego. Studiując bierze czynny udział w pracach polskiego Towarzystwa Literackiego i Towarzystwa Pomocy Naukowej. Ukończywszy studia na próżno szuka w Europie pracy.

W 1838 roku opuszcza Francję udając się na drugi kontynent. Wyjeżdża nie do Stanów, ale do egzotycznego państwa w Ameryce Południowej - do Chile. Zostaje profesorem w prowincjonalnym Coquimbo, a stamtąd przenosi się do stolicy kraju - Santiago. Kieruje tam katedrą ukochanej mineralogii. Wkrótce jednak inna miłość stanie na jego drodze.

W czasie spaceru z generałem Aldunate zwraca uwagę na piękne drzewa w ogrodzie otaczającym jakąś rezydencję. Dom należy do krewnych generała i ten wprowadza Domeykę boczną furtką do parku. Wtem z jednej z alejek wybiega młoda, zaledwie piętnastoletnia panienska. Na widok nieznanego zatrzymuje się jak wryta i plonie szkarłatnym rumieńcem. W tej chwili przeszło czterdziestoletni Domeyko (prawdę mówiąc już niemal dobiegający pięćdziesiątki) dla odmiany zbliża jak chusta. Tak narodziła się wzajemna miłość od pierwszego wejrzenia między leciwym już Polakiem a młodą dziewczyną.

Odtąd Domeyko zaczął być częstym gościem w domu państwa Sotomayor. Jego uczucie dla Enriquetę wkrótce przestało być tajemnicą. Widziano jak wodził za panną oczyma, spotykano ich spacerujących pod szpalerem drzew pomarańczowych lub siedzących pod okiem mamy w różnym ogrodzie. Ignacy z pozoru był wobec panny chłodny i pełen szacunku, lecz mroczniał, gdy odchodziła lub rozmawiała z kimś innym. Panna posyłała mu czule uśmiechy i coraz inaczej czesała swe bujne, ciemne włosy...

Rodzice nie mieli nic przeciw temu małżeństwu. Ze względu na swe stanowisko Polak był dobrą partią, a różnica wieku z racji i klimatu, i innej obyczajowości nikogo w Chile nie raziła.

Ale sam zainteresowany zwlekał z oficjalnymi oświadczeniami. Trudno mu było wyrzec się ustabilizowanego życia, porzucić starokawalerskie nawyki. Przeraziła go może także różnica wieku między nim a ukochaną, tak źle w polskiej obyczajowości wróżąca o przyszłym szczęściu małżonków. Ale zrezygnować z

widywania Enriquetę, wyrzec się jej na zawsze nie potrafił. Wreszcie pisze do przyjaciół z kraju: *Bądź co bądź, moi kochani, nie masz rady, muszę się żenić (...)* *Dziewczyna, z którą się żenię, jest młoda, piękna jak anioł, niewinna, pobożna, nie wiem czemu pokochała mnie od pierwszego wejrzenia.*

Po kilku miesiącach ta tak różniąca się wiekiem, obyczajem, a nawet językiem para stanęła na ślubnym kobiercu. Małżeństwo okazało się nad wyraz szczęśliwe. Przyniosło też z sobą dobrą passę zawodową. Wkrótce Domeyko zostaje rektorem stołecznego uniwersytetu w Chile. Organizuje badawcze stacje meteorologiczne na terenie kraju, inicjuje badania etnograficzne, poznaje i notuje obyczaje Indian, z którymi się zaprzyjaźnia. Od rządu otrzymuje specjalny złoty medal za zasługi dla tego kraju. Nie zrywa więzi z Polską, czuje się przede wszystkim Polakiem. Niedziela to w domu państwa Domeyków dzień polski. Ignacy czyta wtedy polskie książki, pisuje listy do znajomych w starym kraju, a Enriquetę przygotowuje dania przypominające te znad brzegów Niemna i Wisły.

Antoni Edward Odyniec napisze o nim: *Na drugiej półkuli zasługami swymi cześć i miłość zjednywał dla rodzinnej ziemi.*

Małżeństwo dobrze nań wpływało, skoro w 1872 roku (miał wtedy 70 lat) pisze do kolegi w Polsce: *Słyszę jak za młodu, czytam bez okularów do późnej nocy i biegam jak zawsze, że rzadko kto zdąży za mną po ulicy.*

Ciągle myślałam jest w Polsce i wreszcie w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku uzyskuje pozwolenie na powrót do Polski. Przyjeżdża do Warszawy, w której postanawia się osiedlić. W czasie podróży zaczyna lekko chorować. Wraca do Chile, aby zlikwidować tam swe sprawy przed ostatecznym powrotem do ojczyzny. Nie dane mu jednak było osiąść nad Wisłą. Umiera w Santiago w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat. Enriquetę odeszła wczesniej. Tak los różnie kieruje ludzkimi sprawami i nigdy nie wiadomo, co komu pisane.

Przeżył życie poznając wszystkie jego strony - walkę, spiski, działalność społeczną, osiągnął szczyty naukowej kariery, a co najważniejsze - spotkał na swej drodze wielką miłość, którą umiał chronić i podtrzymać przez długie lata.

Barbara Noworolska

## Francuscy szpiegowie w Białymstoku

W połowie XVIII wieku Białystok stał się bardzo ważnym punktem na mapie politycznej ówczesnej Europy. Gdy w 1752 r. Jan Klemens Branicki został hetmanem wielkim koronnym, właśnie w jego podlaskiej rezydencji nad rzeką Białą zaczęły biegać się coraz częściej drogi zagranicznych posłów, dyplomatów i ... szpiegów. *Wersal Podlaski* szczególnie upodobał sobie Francuzi czując się tutaj niemal jak u siebie w domu. Za kulisami wielu ówczesnych intryg politycznych, których areną była Rzeczypospolita, sercem zaś właśnie Białystok, stała tajna służba władcy francuskiego Ludwika XV. Nosiła ona krótką, acz bardzo wymowną nazwę: *Secret du Roi* czyli *Sekret Króla*.

*Sekret Króla* powołany został do życia na początku lat czterdziestych XVIII stulecia jako osobista sieć wywiadowcza Ludwika XV. Swoim zasięgiem obejmował on ziemie Polski, Rosji, Turcji, Szwecji, a także Anglii i Prus. Członkami *Sekretu* byli najczęściej oficjalni przedstawiciele Francji przy obcych dworach. Oprócz nich, w razie potrzeby, wysyłano z Wersalu również tajnych agentów, działających poza plecami francuskiej ambasady. Ludwik XV lubował się wręcz w konkurowaniu ze swoimi ministrami spraw zagranicznych, prowadził często prywatną politykę, sprzeczną niekiedy zupełnie z planami własnego rządu.

Swoją działalność *Sekret Króla* najenergiczniej rozwijał w Polsce. Choć nie udało się władcy francuskiemu (jeszcze Ludwikowi XIV) osadzić na tronie polskim księcia Conti, to jednak Francja nie traciła nadziei. Również Ludwik XV pragnął mieć w Rzeczypospolitej przychylnego sobie króla. W tym celu trzeba było jednak ciągle konkurować z wpływami rozciągającymi na Polskę przez Petersburg, Wiedeń i Berlin.

Agentami *Sekretu Króla*, a jednocześnie oficjalnymi przedstawicielami Francji w Polsce czasów Jana Klemensa Branickiego byli m.in.: Duperron de Castera, de Broglie, Durand czy Hennin. Wszyscy oni znali się wybornie na intrygach politycznych. Ich głównym zadaniem było podtrzymanie wpływów stronnictwa profrancuskiego na czele ze starszym się hetmanem i rozsyłanie po różnych dworach magnackich swoich szpiegów w osobach Francuzów-guwernerów, sekretarzy, malarzy czy ... aktorów teatralnych.

Głównym argumentem w ich rękach były oczywiście pieniądze. Właśnie one sprawiły, że ze sprawą francuską związali się bliscy współpracownicy pana na Białymstoku: generał Andrzej Mokronowski i pułkownik Wojciech Jakubowski. Sam Branicki nie w tajemniczość w sekrety wywiadu, również otrzymał z prywatnej skrzynki Ludwika XV okazałe sumy pieniędzy. Oczywiście stała, oficjalna pensja magnatowi wypłać rząd francuski.

Wszystkie ważne spotkania i rozmowy agentów Ludwika XV z jego polskimi stronnictwami odbywały się najczęściej w Białymstoku. Bardzo dobrym ku temu pretekstem były zawsze hucznie obchodzone imieniny i uroczyny państwa hetmanostwa. Zjawiał się na nich zawsze ambasador francuski, przybywali też inni. Choć wszyscy oddawali się przede wszystkim ucztom i zabawom, znajdowano jednak również czas na poważniejsze dysputy polityczne. Odbywały się one w zaciszu gabinetów w białostockim pałacu lub też w Choroszczu, gdzie Branicki mieli swoją letnią rezydencję.

Dyplomaci francuscy uważnie wsłuchiwali się we wszystkie informacje i wzmianki o sytuacji wewnętrznej Rzeczypospolitej, widzianej oczyma jej liczących się obywateli. To właśnie np. w czasie imieninowego przyjęcia w Białymstoku starano się zdobyć dla Francji sympatię wielce wpływowego na sejmikach litewskich marszałka kowieńskiego Zabięły. W trakcie białostockich spotkań musiała też zrodzić się myśl, że Jan Klemens

Branicki mógłby zostać, po śmierci Augusta III, królem polskim Janem IV. W ten sposób Francja chciała popuszczyć polityce Katarzyny II, mającej swojego kandydata do tronu w osobie stolnika litewskiego Stanisława Poniatowskiego.

Choć siedemdziesięcioletni hetman z Białego stoku nie był początkowo brany pod uwagę jako główny kandydat stronnictwa francuskiego, to jednak, kiedy szanse jego szwagra (Jan Klemens Branicki miał za żonę siostrę Stanisława Poniatowskiego) wzrosły gwałtownie, przystąpił do rywalizacji. Niestety niewiele zwojował. Zawiodły intrygi generała Moneta, nowego agenta *Sekretu Króla* w Warszawie, który próbował skłócić Czartoryskich z Poniatowskim. Udaremnił próbę zerwania przez Mokronowskiego sejmu konwokacyjnego. Przegrywał Branicki wraz ze swoimi poplecznikami musiał uchodzić ze stolicy. Przepędził go stamtąd wojsko rosyjskie przysłane przez Katarzynę II. Ostatecznie schronił się na Węgrzech. Dopiero po kilku miesiącach, na skutek wstawiennictwa żony u brata - króla, pan na Białymstoku mógł powrócić do swoich podlaskich posiadłości i pozostawać w nich już raczej w roli emeryta, niż czynnego polityka i wojskowego.

Ludwik XV i jego tajny *Sekret* także nie opuścili swojego białostockiego sprzymierzeńca. Dyplomaci francuscy też zażądali od triumfującego Poniatowskiego i rodziny Czartoryskich, aby sędziwy hetman mógł honorowo powrócić do kraju. Kiedy to wstawiennictwo zostało zignorowane, Francja na jakiś czas zerwała nawet swoje stosunki dyplomatyczne z Polską.

*Sekret Króla* działał do końca życia Ludwika XV. Po śmierci tego władcy w 1774 r. tajna sieć jego osobistych szpiegów przestała istnieć. Nie znaczy to wcale, że w późniejszych czasach nad Białką nie pojawiali się różni, zakonspirowani agenci. Zmienił się tylko ich pracodawca. Szpiegowanie bowiem istnieje od początku świata.

Włodzimierz Jarmolik

## I ja tak myślę

### Schamienie?

W prasie regionalnej ktoś od czasu do czasu podnosi krzyk, że nasze społeczeństwo chamieje i nie chce chodzić na koncerty Adama Makowicza, a na *Walk Away* przychodzi mocno rozrzedzone. Nie wiem czy akurat od schamienia to zależy, chociaż co do tego jesteśmy z kolegami publicystami zgodni absolutnie.

Ja też próbowałem rozwikłać ów problem zwłaszcza, że niegdyś nie opuszczałem - nie tylko z powodów zawodowych - ani jednej imprezy, na czele (a może przede wszystkim) z prywatnymi wydarzeniami w klubie *Arsenal*. Gdzie - było nie było - stało jakieś pianino. Teraz nie ma mocnych, którzy wygoniliby mnie na *Walk Away*, chociaż *Prostytutki* usiłowałem zobaczyć dwa razy i w końcu musiałem zadowolić się oglądaniem tych prawdziwych w hotelu *Cristal*. Żeby nikogo nie wprowadzać w błąd: nie mam nic przeciwko ani *Prostytutkom*, ani prostytutkom. Nie mam nic przeciwko nikomu z wyjątkiem naszego parlamentu. Ale to osobny temat.

Pierwszą przyczynę załamania się życia estradowego upatruję jednak nie w schamieniu społeczeństwa, ale w niedoganianiu wyglądu tego życia przez współczesne metody ekspresji. Kiedy obejrzy się w telewizji koncert M. Jacksona lub koncertowy teledysk Tiny Turner, trudno wyrażać aprobatę dla naszych nudnych widowiskowo występów nawet gwiazd rocka. Swego czasu Grzegorz Ciechowski próbował stworzyć show ze światłami i dymami, ale okazało się to tak kosztowne, że tylko zakup programu przez telewizję (najlepiej amerykańską) byłby w stanie sfinansować następne przedsięwzięcia.

Mniejsze formy - w tym jazzowe - padają wobec coraz genialniejszych technicznie nagrań płytowych, łącząc z koncertowymi, utrwalonych na CD. Nie trzeba specjalnie ruszać się z domu i wychodzić w coraz bardziej rozpijane miasto, żeby nasycić się dźwiękiem. A minęła już pora szleńców, którzy ekscytowali się możliwością "live" i podniecali niepowtarzalnością improwizacji.

Ale i w tym przypadku nasze kluby nie dorastają do czasów i wymogów publiczności. Są to nadal najczęściej zadymione meliny, bez wentylacji, z obskurnym barem i ochroną, która

nawet siebie nie potrafi skutecznie obronić, a co dopiero mówić o gościach. W słabej akustycznie salce drą się na wyścigi gitara basowa z perkusją, bo fachowców od akustyki można policzyć na palcach jednej ręki. Jazz sprawdzał się w dawnych czasach i w dawnej formie, opartej na kontrabasie i saksofonie bez mikrofonu.

Trzeci - ale nie ostatni - powód, to brak pieniędzy u bywalców. I nie chodzi wcale o bilet. Do tradycji uczestniczenia w koncercie należało zawsze takie zalanie pały, żeby jazz wymieszał się z perfumami, a na drugi dzień zmięty bilet przypominał, że na czymś się było. Proszę dzisiaj, kiedy nie ma limitu na marzę, napić się w klubie wódki lub wina. Do końca miesiąca na chleb nie wystarczy. Powie ktoś, że w Nowym Jorku ceny w klubach też są astronomiczne w porównaniu z cenami w sklepie alkoholowym. Oczywiście - ale ile oni zarabiają?

Czy nie lepiej zatem kupić "koszerną" w delikatesach, na kompakt położyć Chicka Coreę, dać w gaz i przeżyć. Że to jest właśnie oznaka schamienia obyczajów? Oczywiście. A czy ja mówiłem, że schamienia nie ma?

Jacek Grun

### Tylko dla ambitnych

Znajomy wydał książkę i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie perypetie z tym związane. W skromnym tonie opisuje swój pobyt w Niemczech i USA. Jest to więc problematyka, którą można zainteresować wielu, zwłaszcza młodych, czytelników. Żywy tok narracji i sprawność warsztatowa sprawiają, że powinna stać się łakomym kąskiem dla wydawcy, bo na tej książce można zarobić i to zarobić niemało. O tym, że w wysoko rozwiniętych państwach wydawanie książek jest takim samym interesem, jak każdy inny, nikogo przekonywać nie trzeba. W USA wydawanie gazet, książek, produkcja telewizyjna i kaset wideo, reklama, programowanie komputerów i wszystko to, co związane jest ze sprzedawaniem produktów ludzkiego intelektu, praw autorskich, patentów przynosi około czterdziestu procent dochodu narodowego.

We Francji kilkanaście lat temu sprzedaż: wzorów odzieży, wykrojów, praw do oznakowania firmowego, bez produkcji samej odzieży przyniosła jeden miliard dolarów w eksporcie.

Jak jest w Polsce?

Znajomy kilka lat temu złożył maszy-

nopisy do jednego z wydawnictw w pewnym wojewódzkim mieście. Książkę zakwalifikowano do druku i wypłacono zaliczkę. Z wydaniem nikt się specjalnie nie śpieszył, bo wszyscy byli przyzwyczajeni do kilkuletniego cyklu wydawniczego. Podobnie postępowano z innymi pracami. W każdym razie wydawnictwo zbankrutowało i likwidator odesłał maszynopisy autorowi.

Tym razem książka powędrowała do prywatnego wydawcy, który zakwalifikował ją do druku, wypłacił zaliczkę i... zbankrutował, tym razem z zupełnie innych powodów, ale co to w końcu autora obchodzi. Warto dodać, że fragmenty tej książki były drukowane w prasie.

Książka jest, a jakby jej nie było? Na ratunek pośpieszył Związek Literatów Polskich. Wysupłał jakoś dwadzieścia, czy trzydzieści milionów złotych i w końcu skromny tomik ukazał się w nakładzie jednego tysiąca egzemplarzy. Honor został uratowany.

Czy w tym wszystkim chodzi wyłącznie o honor? Czy rynek, czytelnicy i pieniądze nie mają żadnego znaczenia?

Perypetie wydawnictw i piractwo świadczą o polskim cywilizacyjnym zapóźnieniu. Zapóźnieniu najgorszego rodzaju, bo intelektualnym, które jeżeli się utrwali, będzie najsilniejszym elementem ciągnącym Polskę w dół i psu na budę zdadzą się wtedy sukcesy w

produkcji samochodów lub samolotów, bo jeżeli konstruktorzy nie będą systematycznie pracowali nad nowymi ich typami, to przemysł będzie zacofany zawsze. Znacznie łatwiej jest kupić maszynę niż zaprojektować nowy model, który zastąpi stary.

Co to ma wspólnego z perypetiami jednego pisarza? A ma. Każdy, kto chociaż raz w miesiącu zachodzi do księgarni wie, że zawałone są one tłumaczeniami literatury sensacyjnej.

Gdy rynek książki zaczął się komercjalizować, wydawano setki tytułów tego rodzaju literatury. Powstały setki wydawnictw, które na tym dobrze zarabiały. Pracowały tak skutecznie, że wszystkie dobre lub poprawne pozycje tego rodzaju literatury zostały wydane. Ostatnie nowości z tej dziedziny nie nadają się raczej do czytania. Pojawiają się książki zaczynające się od piątego rozdziału, źle przetłumaczone, z błędami ortograficznymi, o tematyce, która nie zainteresuje polskiego czytelnika. Pora więc wrócić do rodzimych pisarzy. Czy większość komercyjnych wydawnictw sprosta ambitniejszym wymaganiom? Czy należy pomagać ambitnym?

Jeżeli pomagać to tylko im, bo sukces gospodarczy, jak wojna, rodzi się w umysłach.

Waldemar Fiedorowicz

Chciałbym Państwu zaprezentować sylwetkę aktora, o którym już mówi się, że jest gwiazdą lat 90-tych. Mam tu na myśli oczywiście Kevin Costnera. Do napisania o nim skłoniły mnie wybitne osiągnięcia artystyczne, ogromna popularność wśród widzów oraz to, że wszystkie jego najważniejsze filmy ukazały się w ubiegłym roku na kasetach wideo, oferowanych przez legalnych dystrybutorów.

Kevin Costner urodził się 18.01.1955 roku w Lynwood. Pochodzi z typowej średniozamożnej, amerykańskiej rodziny. Szczęście i miłość wśród najbliższych były od początku jego życiowym "credo". Będąc młodym chłopcem nie myślał o karierze filmowej. Bardziej od magii kina pociągał go prawdziwie amerykański sport - baseball. Godzinami przebywał z rówieśnikami na boisku sportowym. Rodzice chcieli jednak, aby syn poszedł w innym kierunku i został handlowcem. Za ich namową w wieku 23 lat zaczął studiować ekonomię. W niespełna rok później ożenił się ze studentką architektury - Cindy, którą poznał będąc na wycieczce w Disneylandzie. Zaraz po ślubie nowożeńcy postanawiają wyjechać od rodziców i zamieszkać w Hollywood. Od tego momentu Kevin zostaje "skazany" wręcz na aktorstwo. Jego wygląd zewnętrzny sprawia, że producenci filmowi powierzają mu główne role. Były to jednak

bardzo mierne filmy i nie liczące się nazwiska. Costner, niemłody już przecież jak na debiutanta, powoli rezygnuje z kariery. Przełom nastąpił w 1985 roku, kiedy to Costner otrzymał rolę w doskonale obsadzonym aktorsko westernie *Silverado*. Film przypadł do gustu amerykańskiej widowni, gdyż nawiązywał do wspaniałych, klasycznych obrazów typu *Siedmiu wspaniałych*. Kevin Costner w końcu został za-

jeden z najwspanialszych filmów o Dzikim Zachodzie i jego rdzennych mieszkańców. *Robin Hood - Księżę złodziei* - to wspaniała przygoda, historia dzielnego rycerza sfilowana i opowiedziana niezwykle interesująco, barwnie i z humorem.

*J.F.K.* - to znów jeden z najlepszych dramatów politycznych, w którym aktor i reżyser Oliver Stone, odkrywają zagadkowe kulisy zamachu na prezydenta USA - J.F.Kennedy'ego.

Kevin Costner, jest jednym z tych nielicznych aktorów, którzy podobnie jak na ekranie zachowują się w życiu prywatnym. Jest wierny swoim ideałom; ceni prawdę, miłość, uparcie dąży do celu. W życiu od początku związany jest z wybranką z czasów studenckich. Kocha dom, ciepło rodzinne, żonę i trójkę wspaniałych dzieciaków: córki Annie i Lilly oraz synka Josepha.

Kevin Costner po wielkich sukcesach nie spoczął jednak na laurach. Już w końcu ubiegłego roku na podbój ekranów świata wyruszył najnowszy film z jego udziałem *Bodyguard*. Partneruje mu w tej sensacyjno-obyczajowej opowieści wielka gwiazda muzyki pop - Whitney Houston. Zapowiada się kolejny wielki hit, na który zapraszam wszystkich do kina.

Oprac. Krzysztof Derkowski

## DRODZY WIDEOMANI

uważony. Później zagrał w dramacie szpiegowskim *Bez wyjścia* (ostatnio w TVP) u boku Gene Hackmana; aż nareszcie otrzymał rolę, w której zaprezentował swoje aktorskie możliwości i wielki talent. W 1988 roku słynny reżyser Brian de Palma zaproponował Costnerowi główną rolę w *Nietykalnych*, gangsterskiej opowieści z czasów prohibicji. Film okazał się wielkim sukcesem, a Kevin kreujący postać Elliota Nessa zebrał same pochlebne recenzje.

Lata dziewięćdziesiąte to już nieprzerwane pasmo sukcesów. Zapoczątkował je film, który przeszedł do historii *X Muzy*. Obsypany Oskarami *Tańczący z wilkami* to

Dzisiaj kilka płyt, których wykonawców sam Mr. CD nie jest w stanie zidentyfikować do końca, co nie znaczy, że grają oni muzykę mało popularną czy wręcz kiepską. Zwłaszcza na rynku amerykańskim jest tego tyle, że nie jesteśmy w stanie wchłonąć nawet jednej trzeciej wokalistów, instrumentalistów, zespołów i płyt. To co pokazuje londyńska edycja MTV, bardzo daleko odbiega od zainteresowań amerykańskiego słuchacza, polskiego zresztą też.

Płyty nietypowe, płyty nietypowych wykonawców, pożyczylismy w wypożyczalni CD *Node* z ul. Warszawskiej (pawilon usługowy).

### SCREAMING TREES: Sweet Oblivion '92

Ostra grupa rockowa, którą tworzą: Mark Lanegan (voc), Garry Lee Conner (git), Van Conner (b) i Barret Martin (dr). Wśród 11 utworów utrwalaonych na tej płycie kilku da się wysłuchać z przyjemnością, kilku z obojętnością, a kilka można sobie darować. Czyli normalka. Jest to amerykański rock, bardzo ciężki, w którym można dopatrzeć się idei zaczerpniętej z wczesnych dokonań *Led Zeppelin* wymieszanej z *Black Sabbath*. Amerykański rock jest lubiany przez naszą publiczność, może ze względu na bardzo proste struktury i dużo czadu. A więc coś zupełnie innego niż

w roku brytyjskim.

### ROBERT WYATT: Dondestan '91

Wokalista i multiinstrumentalista brytyjski, kompozytor i producent płyt. Muzyk niezwykle wyrafinowany, stąd nie do słuchania przez wszystkich. W 1973 r. Wyatt wypadł z okna i doznał częściowego paraliżu od pasa w dół. Do końca życia prawdopodobnie będzie się poruszał na

## Kompaktowisko

wózku inwalidzkim. Płyta tu prezentowana jest bardzo dziwna, a właściwie niesamowita. Na dosyć niejednostajnym podkładzie instrumentów klawiszowych Wyatt wygłasza teksty, bo trudno nazwać to śpiewaniem. Słuchać się tego dla przyjemności nie da, ale świetnie służy jako podkład pod kontemplację. Zwłaszcza kiedy nie rozumie się angielskiego tekstu. Kilkadziesiąt minut czegoś, czego nie da się streścić w jednym akapicie.

### THE STAIRS: Mexican r'n'b

Trio, które tworzą: Edgar Summertyme, Paul Maguire i Ged Lynn - czyli całkowita

dla nas tajemnica. Chłopaki na kopercie płyty zakryci są meksykańskimi kapeluszami, ale muzyka, którą grają, bardziej momentami przypomina Micka Jaggera i *Rolling Stones* niż *Los Lobos* czy *Gipsy Kings*. W każdym razie tę płytę można sobie nawet przegrać i mieć przyjemność z jej słuchania. Dziewiętnaście utworów raczej dla 40-latków, którzy wszystko, co przypomina *Rolling Stones*, chłoną z radością.

### Ulubieńcy Mr. CD

Mr. CD kupił ostatnio unikatową płytę *Neck to Neck*, nagrąną przez Marka Knopflera z amerykańskim klasykiem gitary jazzowej Chetem Atkinsem. Jeżeli ktoś oglądał w naszej telewizji koncert z okazji któregoś tam rocznicy Atkinsa, to jest to właśnie to. Chłopaki nagrali płytę country, obydwaj mają możliwości wokalne jak mysz przycisnięta miotłą, ale grają rewelacyjnie. Zwłaszcza przepiękne, instrumentalne ballady na tej płycie nadają się na prywatki, a potem do poduszki. Jest też kilka skocznych kawałków na dwa głosy i dwie gitary. Jeżeli ktoś lubi gitarę i country, będzie to dla niego płyta roku.

Mr. CD

**Teatr Dramatyczny**  
**im. Aleksandra Węgiecki**  
**ul. Elektryczna 12**  
**☎ 415-740**

## Scena duża

**7 II g. 18.00** - *Jak się kochają w niższych sferach* A. Ayckbourn - Premiera oficjalna  
**9, 10, 11, 12 II g. 16.00** - *Jak się kochają...*  
**14 II g. 17.00** - *Jak się kochają...*\*  
**16, 17, 18, 19 II g. 11.00** - *Jak się kochają...*  
**21 II g. 17.00** - *Jak się kochają...*\*  
**23, 24, 25, 26 II g. 11.00** - *Jak się kochają...*

## Scena mała

**2,3,4,5 II g. 16.00** - *SKIZ* G. Zapolskiej  
**6 II g. 16.00** - *SKIZ\**  
**9,10,11,12 II g. 11.00** - *SKIZ*  
**13 II g. 16.00** - *SKIZ\**  
**15,16,17,18,19 II g. 16.00** - *Emigranci* S. Mrożek  
**20 II g. 16.00** - *Emigranci\**  
**23,24,25,26 II g. 16.00** - *SKIZ*  
**27 II g. 17.00** - *SKIZ\**

### Uwaga:

Spektakle sobotnie i niedzielne oznaczone gwiazdką, grane są w ramach Teatru Familijnego; kupując trzy lub więcej biletów dla rodziny otrzymujesz wszystkie w cenie ulgowej! Na te same spektakle bezrobotni mogą zakupić bilety po najniższej cenie wejściówki pracowniczej!

## SCENA X

**Młodzieżowy Dom Kultury -**  
**ul. Warszawska 79**

**2, 3, 4, 5 II g. 9.00** - *Jacek i Placek* J. Rochowiak

## Magazyn dekoracji

**22, 23, 24, 25, 26 II g. 16.00** - *Terminator* P. Handke

**Kawiarnia Foyer Teatru**  
**Salon artystyczny**  
**Pod Różowym Strusiem**

**13, 20, 23 II g. 20.00**

## Prawie jak w Moulin Rouge...

*Gdy się wkłó wali wszystko inspiruje to artystów (z programu kabaretu "Pod Różowym Strusiem")*

I widocznie rzeczywiście coś się wali, skoro artystów zainspirowało i od pewnego już czasu zapraszają - nocną porą - na program kabaretowy do Teatru Dramatycznego (tak, tak!) im. Al. Węgiecki.

Nareszcie możemy pozbyć się kompleksów, bo pomyślano i o kabarecie. Wreszcie są jakieś jaja. I to dwa naraz. Jedno, z którego wyklulo się nieporadne strusie piskie i drugie jajeczko językowe. Na plakacie napisano, że impreza odbywa się na foyer teatru. Na szczęście jednak korekta się udoskonaliła i w programie wydrukowano już, że w foyer...

W zasadzie to można się było spodziewać "czegoś kabaretowego", kiedy tylko powrócił w rodzinne pielesze artysta, białostoczanin **Andrzej L. Petelski**, absolwent tutejszej uczelni teatralnej. Pracując po studiach w teatrze dramatycznym w Słupsku utworzył tam literacko-aktorski kabaret DKD (*Doczekać Końca Dnia*), którego program prezentowała kilkakrotnie ogólnopolska telewizja. Przewidywania się sprawdziły i nastąpiła - dla Andrzeja Petelskiego - kontynuacja gatunku. Oczywiście nowe teksty, pomysły, zespół, nobilitacja do rangi Salonu Artystycznego.

Tu ukłon i brawa dla dyrektora Andrzeja Jakimca za "kupienie" pomysłu, usankcjonowanie go i przyjęcie "na afisz". Mądra to decyzja; odrzucenie propozycji spowodowałoby, co najwyżej, powstanie jeszcze jednego chałturowego zespołiku, który udzielałby się PT Publiczności (jakiej?) w świetlicach (są jeszcze?) i klubach (chyba bilardowych, bo takie nam lato obrodziły...); no może w jakiejś knajpie (do kotleta?)... Do takiego despektu, na szczęście, nie doszło. Mamy kabaret w samym sercu miasta, o nocnej porze, w atmosferze towarzyskiej intymności, przy stolikach, napoje (o wyszynku nic mi nie wiadomo!), zakąski i te pe, toalety (mam na myśli te, na paniach, wieczorowe!), kolorowe, migające światełka i choć jeszcze nie całkiem Moulin Rouge, to jednak troszkę przeciwieństwa tej wymarzonej Francja-elegancja... I ten dystans ironiczny, i szyk, i owa nostalgiczna wieloznaczność.

Ale nie tylko, bo oto konferansjer - w trosce o wartości - zarządza na samym wstępie: *prze-każcie sobie znak pokoju!*; widzowie posłusznie przekazują sobie takowy i jest to szalenie mile, można bowiem przez chwilę popieścić pachnącą dłoń przystojnej pani z prawej strony. Po tym wstępie zaczyna się już normalny kabaret. I jak to w kabarecie - artyści kokietują, epatują, ba, obrażają, a nawet drażnią uczucia widzów. Dostaje się, oj, dostaje wszystkim, którzy nie są w porządku, którzy zamiast być "cacy" są "be"...

Ilościowo przeważała w programie satyra na telewizję. Temat to dyżurny i ... bezpieczny.

Szczególnie, że ostatnio telewizoria emituje taką ilość idiotycznych reklam, że można nimi obsłużyć wszystkie wojewódzkie kabarety. Pod *Różowym Strusiem* zaś - sądzę - warto zrezygnować z mało dowcipnego "koncertu życzeń" na rzecz reklam, które są gotowymi kabaretowymi black-outami, co wykonawcy wystarczająco udowodnili.

W wielu produkcjach - godzi się to odnotować - aktorzy ocierają się o filozoficzne uogólnienia na temat ludzkiej egzystencji, kondycji człowieka - tu i teraz - bytu i nadziei Anny Domini 1993 ... I nie śmiesz tu bynajmniej estradowo wykonać teksty, z których udało się wyłowić takie, między innymi, myśli: *wiemy dokładnie, jak się kochać; nie wiemy, jak żyć, czy też: komuno, wróć, ta wolność nas w końcu zabije*. Następowala nierzadko chwila autentycznej zadumy.

Jest sporo dobrych pomysłów kabaretowych, są one nośne i bawią. Można byłoby je opisać, gdyby nie to, że należy je, po prostu, obejrzeć. Długopisu jednak nie staje na próbę opisu pewnego obsceniczno-onanistycznego "numeru" (nomen omen?) *bez kobiet też można żyć*. Ej, panowie, panowie! Jak dzieci, dają słowo, jak dzieci...

Zaskakująco szybko zawiązuje się kontakt między wykonawcami a widownią. Zgodnie z zapowiedzią jest śmiech, zabawa, satyra, piosenka i potwierdzam to. Co ważne, nie jest "elitarnie", czyli nudnie, lecz swojsko i relaksowo. I parateatralnie dodam - gwoli sprawiedliwości - że nie jest drogo jak na Salon Artystyczny. Na przykład niżej podpisany przedstawi redakcji *Styku* bardzo skromny rachunek: wejściówka 25 tys. zł + coca 5 tys. + krynka 3 tys. zł = 33 tys. złotych. Tanio jak barszcz. Nic tylko siedzieć w kabarecie.

Nie byłbym jednak szczery, gdybym zataił, że nie wszystko mnie usatysfakcjonowało. A raczej, że mi czegoś zabrakło w tym programie. Zabrakło mi mianowicie tematyki i satyry lokalnej. A przecież tyle się u nas dzieje! Za mało miejsca, żeby wyliczać. Czyżby ludzie teatru nie czytali gazet? Wystarczy przecież poczytać prasę, choćby tylko *Grúna*, *Tartaka*, *Kruszewskiego*. A potem tylko melodię podkładać i... dokładać.

A może - rzeczywiście - nie warto? Może to już władzę drażni? Może się - w sumie - nie oplaca? Trudno tu być mądrym.

Ale na pewno nie można się zgodzić z tekstem zacytowanej modnej piosenki Turnau (cytuję z pamięci): *pamiętaj, naprawdę, nie dzieje się nic i nie zdarzy się nic, aż do końca*.

Oj, dzieje się, dzieje; a i zdarzy się jeszcze jedno...

Mowa, rzecz jasna, o kabarecie.

**Kacper Sądecki**

Salon Artystyczny POD RÓŻOWYM STRUSIEM.  
 Grupa inicjacyjna - Andrzej L. Petelski, Robert Ninkiewicz, Dorota Radomska, Jacek Dawidowicz, Monika Niokolajuk, Jacek Kaczyński, Marek Lochnicki.

## Białostocki Teatr Lalek ul. Kalinowskiego 1

☎ 250-31

**Niech żyje Święty Mikołaj**  
scen. i reż. - Wojciech Kbrzyński  
scenografia - Wiesław Jurkowski  
muzyka - Krzysztof Dzierma  
Zamówienia indywidualne i zbiorowe  
przyjmuje i wszelkich informacji udzie-  
la Dział Upowszechniania Teatru - tel.  
250-31 w. 202, 244.

**Mały tygrys Pietrek** - Hanna Janu-  
szewska  
reż. zespołowa pod opieką Wojciecha  
Kbrzyńskiego  
scenografia - Andrzej Dworakowski  
muzyka - Paweł Szymański  
9 II g. 10.00, 12.00  
10 II g. 10.00  
13, 14 II g. 11.00.

**Baśń o nieustraszonych ryce-  
rzach** - Jan Ośnica  
oprac. tekstu i reż. - Joanna Piekar-  
ska  
scenografia - Wiesław Jurkowski  
muzyka - Sławomir Czarnecki  
25 II g. 10.00, 12.00  
26 II g. 10.00  
27, 28 II g. 11.00.

**Scena dla dorosłych**  
**Zywa klasa**  
scen. i reż. - Wojciech Szlachowski  
scenografia - Andrzej Dworakowski  
muzyka - Krzysztof Dzierma  
premiera 20 II g. 19.00  
21 II g. 19.00  
26, 27, 28 II g. 19.00.

## Ciemność i piękno - kaprysy Głuszcza

Odsłania potworność i bezsens życia,  
maluje straszdyła i pokurcze, istoty, które  
istnieją gdzieś w połowie drogi pomiędzy  
człowiekiem a zwierzęciem. Ohydne masz-  
kary, które opanowują fantazję, przydusza-  
ją, jak w okrutnym śnie i utwierdzają w  
gorzkim i strasznym rozczarowaniu  
ludźmi. Udęczenie. Strach. Samotność.

Tracący słuch, pięćdziesięcioletni Goya  
Lucientes Francisco Jose de (ur. 1746) wy-  
konał techniką akwaforty i akwatinty cykl  
graficzny *Caprichos*, który składał się z  
osiemdziesięciu kompozycji.

24.01.1993 roku Bohdan Głuszcza  
przedstawieniem premierowym ożywił  
*Caprichos* przy pomocy studentów III roku  
PWST w Białymstoku, przedstawiając łą-  
ki, fantazje, ból, gorycz i rozpacz nie tylko  
malarza hiszpańskiego króla, ale także  
współczesnego człowieka. Głuszcza ko-  
lejny raz komponuje teatr wykorzystując  
podstawowy symbol cierpienia w sztuce  
chrześcijańskiej: UKRZYŻOWANIE.  
Moc sprawcza męczeństwa znajduje się w  
drugim człowieku, który jest w kręgu innej  
wyobraźni i innej logiki. *Czy istniejemy w  
obłądnym kręgu przymusu zabijania?* -  
zdaje się zapytywać reżyser. Za Goyą  
świadomie wyraża strach i okrucieństwo  
nie tylko przez ostrość rysów maski i wy-  
razistą gestykulację. Tworzy szczególną  
dynamikę elementów współtworzących:  
kontrastuje czerń i biel, zderza kierunki  
strumieni światła, czerwień zanurza w  
czerni, sakralizuje potężną muzyką, poniża  
zaś fizjologią człowieka. Nie jest precyzyj-  
ny w szczegółach, co w rezultacie zwię-  
ksza wrażenie wieloznacznej plamy, roz-  
mazania i tragicznego porozrywania. Ma-  
ska i przebranie, które bywa karnawał-  
owym żartem, tutaj odkształca i odnatural-  
nia ciało, zaś spiczasta czapka Arlekina z  
commedii dell'arte staje się symbolem  
hańby.

I wydaje się, że nie ma końca koszmar-  
nej nocy, która jest pulsującą raną... A jed-  
nak! Ratunkiem jest miłość. Nie ta metafizy-  
czna. Piękna i zmysłowa kobieta, której  
słabość staje się mocą mężczyzny. To z  
pewnością najpiękniejszy obraz przedsta-  
wienia: kiedy ONA osuwa się w JEGO  
ramiona. Kompozycji niezwyklej urody  
jest bowiem w przedstawieniu wiele. Zna-  
komicie zagrane są postacie Ukrzyżowa-  
nego, Cienia Ukrzyżowanego (drzewa)  
oraz Wielkiego Inkwizytora. Cały zespół  
zasługuje na gratulacje.

Obejrzyjcie Państwo *Kaprysy Głuszcza*-  
ka i jego studentów. Jest to bowiem sztuka  
najwyższych nateżeń i zawodowej ma-  
stria.

Grafika Goi jest pełna ciemności. Pro-  
mienie światła nie mogą pokonać nocy.  
Głuszcza znajduje sposób. Zmysłowość i  
niewiarygodne piękno ludzkiego ciała.

### Jerzy Binkowski

Scenariusz i reżyseria - Bohdan Głuszcza; muzyka  
- Krzysztof Penderecki; maski - Sylwia Mydlak; wy-  
konawcy - Katarzyna Golas, Ewa Grzywaczewska,  
Sylwia Janowicz, Agnieszka Maliszewska, Grażyna  
Nieciecka, Edyta Niewińska, Anna Puślecka, Urszula  
Starosta, Iwona Szczęśna, Jarosław Gmitrzuk,  
Piotr Kaniowski, Grzegorz Kazberuk, Zbigniew Liso-  
wski, Piotr Michalski, Tomasz Rynkowski, Piotr Sur-  
maczyński, Adam Wnuczko.

## Państwowa Filharmonia 15-227 Białystok ul. Podleśna 2 ☎ 327-343,416-557

5 II g. 19.00 - Koncert symfoniczny  
Orkiestra Filharmonii Białostockiej  
Joanna Nowicka - dyrygent  
Grzegorz Puchalski - klawet  
Tomasz Czekala - waltornia

Program:

F. Krommer - Koncert na klawet i  
orkiestrę Es-dur op. 36  
R. Strauss - I Koncert waltorniowy  
Es-dur op. 11  
J. Haydn - Symfonia B-dur nr 85 *La  
Reine*

\* \* \*

12 II g. 19.00 - Koncert kameralny  
"ARS IUVENUM" w składzie:  
Magdalena Jakubowska-Puchal-  
ska - flet  
Anna Wolicka - obój  
Grzegorz Puchalski - klawet  
Wanda Kubowska - waltornia  
Dariusz Nowak - fagot

Program:

J. Haydn - Divertimento B-dur *Cho-  
rale St. Antoni*  
W. A. Mozart - Divertimento B-dur  
KV 270  
F. Danzi - Kwintet F-dur op. 68 nr 2

\* \* \*

D. Milhaud - Suita *Kominek Króla  
Rene*

J. Ibert - 3 krótkie utwory

18 II g. 16.00; 19 II g. 19.00 - Koncert  
symfoniczny

Orkiestra Filharmonii Białostockiej  
Wiktor Dmuchowski - dyrygent  
(Białoruś)

Leszek Kot - fortepian

Program:

M. Glinka - Walc - Fantazja h-moll  
L. van Beethoven - IV Koncert forte-  
pianowy G-dur op. 58  
P. Czajowski - I Symfonia g-moll op.  
13

25 II g. 16.00; 26 II g. 19.00

Koncert symfoniczny  
Orkiestra Filharmonii Białostockiej  
Andrzej Borejko - dyrygent  
Piotr Paleczny - fortepian

Program:

M. Ravel - Pawana na śmierć Infan-  
tki  
K. Szymanowski - IV Symfonia kon-  
certująca op. 60  
D. Szostakowicz - VI Symfonia h-  
moll op. 54

## Muzea i galerie

**Galeria Arsenal**  
Biuro Wystaw Artystycznych  
ul. Mickiewicza 2 . ☎ 203-53

**17 II g. 18.00** - wernisaż dwóch wystaw:

Tomasz Ciecierski (Warszawa) - malarstwo  
Agata Michowska (Poznań) - rzeźba

**Muzeum Wojska**  
ul. Kilińskiego 7  
☎ 415-081, 415-448

### **Ekspozycje stałe:**

- Dzieje wojskowe ziem północno-wschodniej Polski (X-XX w.)

- Sala Sławy Bojowej

- Sala Rycerska

### **Galerie sztuki:**

- Galeria Rzeźby Batalistycznej Edmunda Majkowskiego

- Żołnierz Polski w sztuce ludowej

### **Wystawa czasowa:**

- 10 Pułk Ułanów Litewskich

*Czynne codziennie oprócz poniedziałków w godz. 9.30-17.00.*

### **Planszowe wystawy objazdowe m.in.:**

- Polski orzeł wojskowy

- Historia polskiego munduru

- Odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 r.

- Białystok w wojnie 1920 r.

- Symbole najbliższe sercu Polaka - godło, barwa, hymn

- Wierni Bogu i Ojczyźnie - duszpasterstwo wojskowe

- Moją Ojczyzną jest Polska Podziemna (z dziejów ZWZ-AK-WiN na Białostocczyźnie)

### **Spotkanie muzealne pod hasłem**

#### **Podajmy dłoń historii:**

- Temat z cyklu *Dzieje rodzajów broni* pt. *Historia szabli*, 20 II 1993 r.

### **Muzealne lekcje historii:**

Temat lekcji z oferty muzealnej oraz terminy - do wcześniejszego uzgodnienia.

### **Projekcje filmów o tematyce historyczno-wojskowej:**

- W ramach cyklu *Filmowa panorama żołnierskiej sławy* film dokument. pt.

*On wierzył w Polskę* (o Komendancie Emiliu Nil-Fieldorfie, Szefie Kedywu KG AK - w 40 rocznicę jego tragicznej śmierci).

## Pozostały tylko ślady podków...

Wystawa o 10 Pułku Ułanów Litewskich jest wystawą wyjątkową. Mało która instytucja tak jak wojsko "wtopiona" była w panoramę miasta II Rzeczypospolitej. O ułanach w amarantowych otokach pamiętają do dziś mieszkańcy Białegostoku. Istnieją także dawne rosyjskie koszary, w których pułk ten stacjonował. Do dziś jest to obszar wojskowy, a dawne koszary im. marszałka Józefa Piłsudskiego noszą teraz miano 10 Pułku Ułanów Litewskich.

Nie mam zamiaru opisywać dokładnie wystawy i omawiać poszczególnych zdjęć, dokumentów, pamiątek historycznych. Mimo okupacji i działań wojennych zachowało się ich niemało. Pułk 10 ułanów swoim rodowodem sięga czasów Powstania Listopadowego. Tworzył się zaś w Niepodległej Rzeczypospolitej w niedalekim Pietkowie w majątku Gabrieli ze Starzyńskich hr. Komarowej. Przez pewien okres formował się też w Bielsku Podlaskim i uzupełniał stany osobowe w Czyżewie i Siemiatyczach. Mówią o tym nie tylko dokumenty, ale także zachowane urokliwe fotografie, gdzie obok młodych ułanów widać fragmenty zabudowy, znajome widoki i postacie.

10 Pułk Ułanów Litewskich miał piękny szlak bojowy. Walczył na Ukrainie, wyzwalał Kresy Wschodnie, bił się nie tylko z bolszewikami, ale także i Litwinami. Stąd też wątek polsko-litewski pułku ciągnący się od czasów Powstania Listopadowego do powstania państwa o nazwie Litwa Środkowa. Po wojnie polsko-bolszewickiej pułk "osiadł" z rozkazu Ministerstwa Spraw Wojskowych w Białymstoku. Wojna 1939 r. zakończyła dzieje pułku. Reszta to losy indywidualne, losy żołnierzy, ich pobyt w obozach, walka w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie oraz działalność kombatanka po wojnie.

Pozostał tylko żal, że ułanów już nie ma.

Wystawa o 10 Pułku Ułanów Litewskich jest wystawą, którą winni obejrzeć ci co mają sześć lat i ci co skończyli sto.

Krzysztof Filipow

**Muzeum Okręgowe**  
Ratusz, Rynek Kościuszki  
☎ 214-40; 214-73

*Czynne w godz. 10.00-17.00 (oprócz poniedziałków i dni poświętanych).*

**Ekspozycje stałe**  
Galeria malarstwa polskiego  
Pradzieje Białostocczyzny  
**Ekspozycja czasowa**  
Polska tkanina dwuosnowowa

**Muzeum Historyczne**  
ul. Warszawska 37, ☎ 416-591  
*Czynne w godz. 10.00-17.00 (oprócz poniedziałków i dni poświętanych).*

**Ekspozycje czasowe**  
Józef Piłsudski w pamięci białostoczan  
Na dworze Jana Klemensa Branickiego

**Muzeum w Bielsku Podlaskim**  
Ratusz ul. Mickiewicza 56, ☎ 22-44  
*Czynne w godz. 10.00-17.00 (oprócz poniedziałków)*

**Ekspozycje czasowe**  
Malarstwo Leonida Wiszenki  
Malarstwo Tamary Tarasewicz

**Muzeum w Tykocinie**  
ul. Kozia 2, ☎ 18-16-26  
*Czynne w godz. 10.00-17.00 (oprócz poniedziałków i dni poświętanych).*

**Ekspozycje stałe**  
Wnętrze sali dawnej synagogi  
Uczta Sederowa - z dziejów obrzędowości paschalnej Żydów polskich  
Galeria malarstwa Zycha Bujnowskiego  
Gabinet glogerowski  
Pamiętki po prowizorach farmacji  
**Ekspozycje czasowe**  
Tajemnice Tykocina  
Krzyże kowalskie na Podlasiu

**Muzeum w Choroszczu**  
Pałac, ☎ 270-51 w. 252  
*Czynne w godz. 10.00-17.00 (oprócz poniedziałków i dni poświętanych).*

**Ekspozycja stała**  
Unikalne wnętrza pałacowe  
**Ekspozycja czasowa**  
Stara i nowa Choroszcz w malarstwie  
Aleksandra Waczyńskiego

**Punkt Muzealny w Supraślu**  
Pałac Opatów, ☎ 183-506  
*Czynny w godz. 9.00-16.00 (oprócz poniedziałków i wtorków po wolnych sobotach).*

## Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury ul. Kilińskiego 8 ☎320-724, 328-652

1.02. g.11.00

Bal karnawałowy dedykowany dzieciom ze szkół podstawowych w Knyszynie.

1-8.02.

Koncerty zespołu dziecięcego *Skowronki* z Brańska (Mińsk).

2.02.

Turniej rozrywkowy *Dublety* (dla dzieci) GOK w Boćkach.

4.02.

Koncert zespołów *Jazz Dance* oraz *Płaz* w Knyszynie

6.02.

*Karnawałowy Kulfon Show* - aula UW w Białymstoku.

6-7.02.

IX Spotkanie Instrumentalistów Ludowych w Pogorzalkach.

12-13.02.

XI Spotkanie Muzykujących Rodzin Białostoczczyzny (Sokółka).

14.02.

Eliminacje rejonowe konkursu *Piosenka Białoruska '93* (Bielsk Podlaski).

15.02. g. 11.00

*Folk-Zadyma* - koncert zespołów folklorystycznych dla dzieci i młodzieży (Białystok, hala *Włókniarza*).

16.02.

Promocja książki Andrzeja Wydmieńskiego *Autostrada Westberlin - Hamburg* (WOAK, Białystok).

17.02.

*Styk - Kazaneckiemu* - impreza poetycko-muzyczna (WOAK, Białystok).

20.02.

Zjazd Stowarzyszeń Regionalnych (WOAK, Białystok).

20-21.02.

Eliminacje centralne *Piosenka Białoruska '93*

23-25.02.

Występy Teatru Estradowo - Cyrkowego Liliputów na terenie woj. białostockiego.

26.02.

Koncert zespołu *Szpilka* w Domu Pomocy Społecznej przy ul. Świerkowej.

## Miejski Dom Kultury ul. Legionowa 5 ☎248-23, 215-15

1 II - **Klub Rozrywki**. Otwarcie wystawy starych motocykli. Wystawa czynna będzie do 5 II w godz. 12.00-19.00 i połączona będzie z giełdą kolekcjonerów.

1 II g.12.00 - **Kawiarnia Fama**  
Spektakl dla dzieci *Królewskie ogórki* (Teatr Lalek z Łomży)

2 II g. 10.00 - **Kawiarnia Fama**  
Impreza oświatowa połączona z konkursem wiedzy: *Wnętrze tradycyjnej wiejskiej chaty*

3 II g. 10.00 - **Kawiarnia Fama**  
Zabawy teatralne dla dzieci

4 II g. 10.00 - **Lodowisko przy ul. Zwierzynieckiej**  
Bal przebierańców na lodzie

5 II g. 10.00 - **Kawiarnia Fama**  
Mini-lista przebojów

8 II g. 16.00 - **Kino Forum**  
Bezpłatny koncert integracyjny dla ludzi niepełnosprawnych

8 II g. 19.30 - **Kino Forum**  
Koncert zespołu *Varsowia Manta*

10 II g. 18.00 - **Kino Forum**  
Koncert Renaty Przemek

14 II g. 10.00-14.00 - **Klub Rozrywki**  
Giełda kolekcjonerów.

20 II g.18.00 - **Kawiarnia Fama**  
Wieczór piosenki żeglarskiej *Reja*

22 II g. 18.00 - **Klub Rozrywki**  
Koncert Zespołu *Kult*

Zapraszamy na stałe imprezy taneczne:

**Kawiarnia Fama** - Wieczorki taneczne *Spotkania pokoleń* - czwartki i niedziele w godz. 17.00-22.00. Gra zespół *Dawne Rytmy*

**Klub Rozrywki** - Disco Piccolo - soboty i niedziele w godz. 17.00-19.00; Night Disco - piątki i niedziele w godz. 20.00-1.00; soboty w godz. 20.00-2.00. Bal Samotnych - 26 II w godz. 20.00-2.00. Gra zespół *Ela i Kapela*.

Prowadzimy usługi w zakresie nagłośnienia, oraz kompleksową usługę związaną z obsługą imprez.

## Dom Kultury *Śródmieście* ul. Kilińskiego 11 ☎ 416-517

### Muzyka

Spoleczne Ognisko Muzyczne - nauka gry na instrumentach w klasach: fortepian, akordeon, gitara klasyczna, skrzypce, flet prosty, flet poprzeczny, saksofon, klasa umuzykalnienia. Zapraszamy na przesłuchania do SOM - bliższe informacje w sekretariacie domu kultury.

Zespół Muzyki Dawnej Fletów Prosty *Cantio Polonica*

Zespół akordeonowy

Kurs gitarowy

Kurs organowy

### Taniec

Spoleczne Ognisko Baletowe. Nabór dzieci w wieku 5-9 lat - bliższe informacje w sekretariacie domu kultury

### Działalność usługowa

Organizowanie koncertów i imprez okolicznościowych na zlecenie

### Propozycje na ferie zimowe:

2 II g. 10.00 - Filmy wideo

3 II g. 10.00 - Ćwiczenia i zabawy z dykcji

4 II g. 10.00 - Nauka tańca towarzyskiego

## Wielki konkurs Styku

*Mile chwile nie muszą zostać tylko w pamięci.*

*Wychodzisz za mąż, obchodzisz imieniny, podejmujesz gości z USA, Twoje dziecko przystępuje do Pierwszej Komunii?*

*Nagramy na video każdą uroczystość rodzinną i to za darmo. Musisz tylko wygrać.*

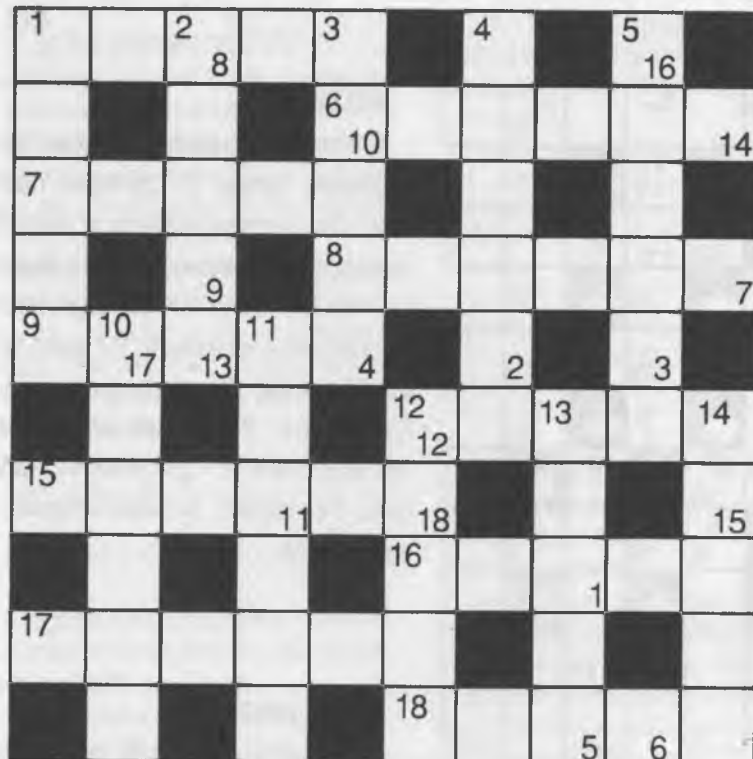
*Wytnij kupon z trzech kolejnych numerów Styku i nadesłnij do redakcji: ul. Kilińskiego 8, 15-089 Białystok. Nadawca szczęśliwego kuponu (który wylosujemy) będzie miał pamiątkę na całe życie.*

**Pamiętaj! Wyślij!**

**Kupon na stronie 5.**



# KRZYŻÓWKA Z HASŁEM



Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu, napisane kolejno od 1 do 18, utworzą rozwiązanie - pierwszą część hasła.

Poziomo: 1. wiedza; 6. pora roku; 7. uciekinier; 8. uplastyczniony polichlorek winylu; 9. powierzenie komuś wyższego stanowiska; 12. pień; 15. wstręt; 16. rozkaz; 17. tyś tysięcy; 18. bezcenny przedmiot.

Pionowo: 1. określenie, wyraz; 2. droga dla pieszego; 3. greckie określenie egidy; 4. system Haversa, jednostka budowy kości długich; 5. odbył samotny rejs dookoła świata na jachcie "Opty"; 10. znak zodiaku; 11. piastunka; 12. jeszcze nie mężatka; 13. lewy dopływ Angary; 14. wrzask.

Od tego numeru proponujemy Państwu nową zabawę. Zadanie polega na rozwiązaniu 4 krzyżówek zamieszczonych w kolejnych numerach *Styku* (od nr 2 do nr 5), w których zawarte są kolejne człony hasła.

Rozwiązanie - myśl Stanisława Jerzego Leca prosimy nadsyłać w terminie do dnia 20 V 1993r. wraz z kuponami, które wezmą udział w losowaniu nagrody w wys. 200 tys. zł.

## Lekki przepis na ciężki stres

1. Nigdy nie wolno mi popełnić błędu.
2. Nigdy nie mogę zawieść.
3. Nigdy nie mogę wypaść głupio.
4. Cały czas muszę instensywnie działać!
5. Nigdy nie wolno mi się złościć.

### Inne niewypowiedziane reguły samodestrukcji:

1. Nie wolno mi wywoływać u innych złości na mnie.
2. Muszę każdemu sprawiać przyjemność.

3. Muszę myśleć o potrzebach innych ludzi, nie o własnych.

### Ukryte oczekiwania wobec innych.

1. Ludzie zawsze powinni robić to, o co ich poproszę.
2. W kontaktach ze mną ludzie powinni być rozsądni.
3. Nie wolno innym sprawiać mi zawodu.
4. Ludzie nie powinni prosić mnie o robienie tego, czego nie chcę robić.

(fragmenty z książki *Coping with stress*, James W. Mills, 1982, Pub. Wile).

Wydawca: Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury 15-089 Białystok ul. Kilińskiego 8, ☎ 328-652, 320-724  
Redaguje zespół: Iwona Wąsowicz - Szczepaniak (red.nacz.), Kazimierz Derkowski, Anna Kowalska, Jan Szaciłło, Waldemar Fiedorowicz.  
Projekt okładki i rys. Kazimierz Falkowski  
Skład komputerowy: Oficyna Wydawnicza WOAK  
Druk: SOBOLDRUK

**Krzyżówka  
Kupon  
200 tys. zł**



## STYL PROWADZENIA SAMOCHODU - TO CECHA CHARAKTERU!!!

### Czy rzeczywiście jesteś dobrym kierowcą???

Psychologowie zestawili zachowania i przyzwyczajenia dobrych i złych kierowców. Kierowcy ze skłonnością do powodowania wypadków nie tylko jeżdżą, ale i myślą inaczej niż kierowcy, którzy jeżdżą bezpiecznie!

Test poniższy odpowie Ci na pytanie, czy rzeczywiście jesteś dobrym kierowcą. Musisz tylko absolutnie szczerze odpowiedzieć na pytania, ponieważ tylko wtedy wynik będzie prawdziwy. T - tak, N - nie.

1. Czy czasami nie ryzykujesz trochę, decydując się na wyprzedzanie? ..... T - N

2. Cz jesteś zrównoważony? ..... T - N

3. Czy po wypiciu odrobiny alkoholu prowadzisz równie dobrze jak wtedy, kiedy nie piłeś? ..... T - N

4. Czy możesz bez zmęczenia prowadzić samochód przez pięć godz.? ..... T - N

5. Czy jesteś zdania, że większość kierowców nie przestrzega przepisów ruchu? ..... T - N

6. Czy uważasz, że policja często robi oblawy na pijanych kierowców? ..... T - N

7. Czy regularnie prowadzisz samochód krócej niż 3 lata? ..... T - N

8. Czy regularnie prowadzisz samochód krócej niż 7 lat? ..... T - N

9. Czy masz dokładnie 22 lata? ..... T - N

10. Czy uważasz, że znaków drogowych jest zdecydowanie za dużo? ..... T - N

11. Czy jesteś zdania, że wiele znaków drogowych jest źle usytuowanych? ..... T - N

12. Czy często ci się zdarza podczas jazdy w mieście skręcać w lewo w ostatniej chwili, kiedy pali się już czerwone światło? ..... T - N

13. Czy uważasz, że masz doskonały refleks? ..... T - N

14. Czy uważasz, że szybkim samochodem jeździ się bezpieczniej? ..... T - N

15. Czy inni uczestnicy ruchu bardzo utrudniają ci jazdę? ..... T - N

16. Czy w ruchu miejskim często jeździsz lewym pasem? ..... T - N

17. Czy zapłaciłeś w 1992 więcej niż

trzy mandaty? ..... T - N

18. Czy masz czerwony samochód, a jeśli nie, to czy chciałbyś taki mieć? ..... T - N

19. Czy często przekraczasz ograniczenia prędkości o więcej niż 10 km/h? ..... T - N

20. Czy jesteś przekonany o tym, że jesteś wybornym kierowcą? ..... T - N

Punktacja:

Za każde tak należy liczyć:

1 = 3      11 = 2

2 = 2      12 = 1

3 = 3      13 = 3

4 = 3      14 = 2

5 = 2      15 = 2

6 = 2      16 = 1

7 = 1      17 = 3

8 = 1      18 = 2

9 = 1      19 = 2

10 = 1     20 = 3

Za każdą odpowiedź nie-0 punktów.

Czy jesteś dobrym kierowcą?

Odpowiedzi

do 10 punktów:

Należysz do kierowców, którzy chętnie zdejmują nogę z gazu, jeżdżą rozsądnie i wiedzą, co się może zdarzyć na drodze. Tak trzymaj! Jeśli akurat nie masz fatalnego dnia, jesteś wspaniałym uczestnikiem ruchu.

11 - 20 punktów

Więcej uwagi! Jesteś dobrym kierowcą, któremu rzadko zdarzają się błędy. Ponieważ uważasz się za rutyniarza, czasami nie jesteś zbyt uważny, co może mieć fatalne skutki. Musisz się niestety liczyć z błędami innych.

21 - 30 punktów

Mniej gazu! Zdejmij nogę z gazu. Jeździsz zbyt ryzykownie. Twoje odpowiedzi świadczą o tym jednoznacznie. Przekonanie o swojej nieomyślności jest powodem wypadków.

31 - 40 punktów

Hamuj! Ten sposób jazdy zagraża Tobie i innym. Upór i przekonanie o mistrzowskim prowadzeniu samochodu, skłania cię do ryzykownej jazdy. Przyhamuj siebie i swój samochód, zanim będzie za późno.

Zły kierowca

Miał już wiele lżejszych i cięższych wypadków. Uważa to za szczególnie pech, ponieważ ma się za kierowcę doskonałego. Z technicznego punktu widzenia, najprawdopodobniej jeździ bardzo dobrze. Często jednak zdarzają mu się wypadki przy tzw. "ślalomach". Przekonany o swych umiejętnościach rzadko zdejmuje nogę z gazu. Złemu kierowcy zawsze się wy-

daje, że wszyscy chcą go prześcignąć. Jest przekonany, że inni kierowcy nie umieją jeździć i są bezmyślni. Poddaje w wątpliwość ustawienie wielu znaków drogowych, rzadko trzyma się dozwolonej szybkości. Jeździ tak, jak mu jest wygodnie. Jest przekonany, że jego refleks po sześciogodzinnej jeździe jest równie dobry, jak na początku, inni męczą się już po trzech i pół godzinie. Najgorsze cechy złego kierowcy ujawniają się w ruchu miejskim. Jego temperament nie pozwala mu na spokojne czekanie w korkach ulicznych. Ciągłe zmienia pas ruchu, puka się w głowę pod adresem innych kierowców, kiedy zwracają mu uwagę. Oczywiście zawsze egzekwuje pierwszeństwo przejazdu, nawet gdy ma się zmierzyć z największą ciężarówką. Statystyki wykazują, że tacy kierowcy są najmniej bezpieczni podczas pierwszych siedmiu lat prowadzenia samochodu. Najgorsze są jednak pierwsze trzy lata "za kółkiem", a najczęstszymi sprawcami wypadków są ludzie 22-letni, którzy otrzymali prawo jazdy w wieku 19 lat.

**Dobry kierowca**

Nie jest przekonany o doskonałości swoich umiejętności i refleksu. Nie uważa się za nieomyślnego, nigdy nie jeździ agresywnie, zawsze ostrożnie. Woli wlec się w sznurku samochodów, niż pokazywać innym, jaki jest dobry. Dobrzy kierowcy są zawsze gotowi do ustąpienia innym, niekoniecznie muszą egzekwować pierwszeństwo. Dozwoloną prędkość przekraczają zawsze, ale nigdy więcej, niż o 10 km/h. Jeśli to konieczne, jedzie wolniej, niż dopuszcza znak, szczególnie przy dużym ruchu lub gdy sytuacja na drodze jest niejasna.

Dobry kierowca ma dobre mniemanie o innych uczestnikach ruchu. Rzadko ma do czynienia z policją. Nie robi wielu krytycznych uwag o ilości i ustawieniu znaków drogowych. Dobry kierowca wie, że wypicie choćby jednego piwa jest niebezpieczne. W ruchu miejskim trzyma się środkowego pasa, rzadko skręca w lewo w ostatniej chwili, przed zapaleniem się czerwonego światła. Defensywny kierowca rzadziej ryzykuje, nie musi, w przeciwieństwie do złych kierowców, wyprzedzać, ani też ciągle zmieniać pas ruchu. Dobry kierowca jest człowiekiem zrównoważonym. Nie musi koniecznie być "mistrzem kierownicy", ale nie miewa wypadków, ponieważ jeździ defensywnie.

# futra...tra...tra i odzież... ze skóry dla Pań i Panów

gustowną galanterię ze skóry,  
nesesery, dyplomatki, teczki  
torby szkolne, torebki, saszetki  
etui do kluczy, paski,  
gadżety ze skóry

unikatowe  
swetry  
artystyczne  
wyroby  
ze skóry



ul. Św. Rocha 13/15  
Rzemieślnik II lok. 103

➔ polecają: ycsnołbaJ .M i .A

Zbigniew Bujak, który nie tak dawno przeprosił za *Solidarność*, został szefem komitetów na rzecz referendum w sprawie dopuszczalności aborcji. Zebrały one - tak twierdzą - milion podpisów. Dzień przed głosowaniem nad ustawą o ochronie prawnej dziecka poczętego, Bujak wyjechał do USA. Do wprowadzenia niektórych postulowanych przez Komitety poprawek zabrakło jednego głosu - właśnie głosu Bujaka.

Najtrudniej przeprosić za siebie.

\* \* \*

Dwudziestego stycznia dziennikarze ze wszystkich redakcji dzielili się opłatkiem z księdzem biskupem. Zadawali także pytania. Jerzy Tartak także zapytał. Mówił długo, w końcu stwierdził z rozbrajającą szczerością, że to pytanie chciał zadać w ubiegłym roku, lecz nie zdążył.

Pamięć znakomita, z refleksem gorzej.

Kierowniczką suwalskiego oddziału *Kuriera Porannego* - dziennika niezależnego - Bożena Dunat, została współpracownicą *Nie* - dziennika cotygodniowego.

Co dziennik to dziennik.

## Plamy, plotki, anegdota

Zdjęcie z meczu piłkarskiego sprzed 17 lat było wydarzeniem tygodnia w świecie polityki. Jarosław Kaczyński twierdzi, że na fotografii przedstawiającej uczestników kursu oficerów SB znajduje się Mieczysław Wachowski. Tymczasem zgłosił się komendant policji z Lublina, który upiera się, że to on, a nie Wachowski biega po boisku w szkole milicyjnej w Świdrze. Odkryto poza tym, że na zdjęciu z 1975 r. "Wachowski" jest bardziej łysy, niż 6 lat później w 1981 r. - pisze *Poranny*.

Łyse jest piękne i praktyczne.

\* \* \*

Okazało się, że dezinformowaliśmy czytelników twierdząc, że nie ma powiązań rodzinnych między ministrem przemysłu Niewiarowskim a prezesem Niewiarowskim od sklepu. Pojechałem do Gorzowa. Tym razem Włodzimierz Niewiarowski (sklep) przyznał, że rzeczywiście jest zięciem ministra Wacława Niewiarowskiego - pisze Marek Barański w tygodniku Jerzego Urbana *Nie*.

Redaktorowi Barańskiemu, jak w UB, każdy się przyzna do tego, czego nie popełnił. Rzekomy zięć ministra tak zapewne się ucieszył, że "znakomitości partii", że w Urzędzie Stanu Cywilnego zmienił swoje kawalerskie nazwisko na panięskie nazwisko córki ministra, a swojej żony.

\* \* \*

Napis na drzwiach toalety: *Obejrzyj się za siebie*. Napis na ścianie naprzeciwko: *jak s... to się nie ogląda*.

## WYSYŁKOWA SPRZEDAŻ MATERIAŁÓW FOTOGRAFICZNYCH

Biuro handlowe PROFOT 15-201 Białystok  
ul. Warszawska 79 tel. 325-593 lub 412-067 lub  
412-336 lub fax. 414-682 czynny całą dobę